

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 4 marki (za odnośnienie do domu dopłaca się 20 pfen, kwartalnie) z przesyłką pocztową kwartalnie 4 marki 50 fenigów.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2 marki; na 1 stronie okładki 1 marka 20 fen.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 60 fen.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykłe 50 fen.; Kronika towarzyska, Nekrologi nadesłane po 1 marce 50 fen. za wiersz. Marginesy: 1-stronie 20 marek, przy Nadesłanych 16 mar.; na ostatniej str. 14 mar. i wewnątrz 12 mar. Artykuły reklamowe 350 mar. za stronę.

ŚWIAT

Rok XI. № 13 z dnia 25 marca 1916.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Warszawa, ulica Zgoda № 1.
Pod kierownictwem naczelnym Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na życie

„L'URBAINE”

Ułgi na wyp. niezł. do pracy

Filja dla Kr. P. Marszałk. 136.

8857 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.

Biurowo Kijowskie: Kijów, ulica Kreszczatik Nr. 48.

Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazańskiej Nr. 9.

Pamiętajcie o wpisach szkolnych.

Wszelkie ofiary przyjmuje
Administracja „Świata”.

Nagroda im. Orzeszkowej.

Ankieta „Świata”.

„Pismem z dnia 3 kwietnia 1914 r. członkowie byłego Komitetu Jubileuszowego Elizy Orzeszkowej zawiadomili Komitet Kasy Literackiej, że z sum złożonych dla uczczenia Elizy Orzeszkowej postanowili utworzyć fundusz żelazny przy Kasie Literackiej pod nazwą „Funduszu imienia Orzeszkowej” — na warunkach następujących: „Odsetki od tego funduszu mają być co dwa lata, licząc od daty złożenia Kasie, przeznaczone na nagrody dla literatów polskich. Nagroda ma być wyznaczona za najwybitniejsze dzieło literackie w języku polskim, ogłoszone w ciągu ostatnich dwóch lat, bądź za całą działalność literacką kandydata. Nagrodę mają przyznawać zjednoczone Zarządy Kasy Literackiej oraz Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy Polskich w Warszawie...”.

Tak, zgodnie z brzmieniem odnośnego protokołu, przedstawia się geneza, zakres i cel tej nowoutworzonej na naszym gruncie „warszawskiej nagrody Nobla”. Miniaturowej zresztą, dodać należy, gdyż rozmiar jej wynosi 2,500 rb.

W każdym jednak razie, poza starszą jej, krakowską siostrzycą, czterdziestotysieczną (w koronach) nagrodą im. Jerzmanowskiego, jest to pierwsze bodaj u nas zapoczątkowanie tego rodzaju na większą skalę, które oby wywołać zdołało szlachetną rywalizację.

Mamy wprawdzie parę kilkuset-rublowych nagród, lecz naogół ten typ wzajemnej pomocy społecznej traktowany jest w Polsce po macoszemu.

Nie wspominając już o olbrzymiej norweskiej fundacji Nobla, promieniującej na świat cały (a zaiste nie jest Norwegia krajem bogatszym od Polski), wszystkie społeczeństwa zachodnio-europejskie posiadają wprost setki pomniejszych nagród analogicznego rodzaju. Całe szeregi np. literatów francuskich opierają na nich był swój materyalny. U nas... lecz zadalekoby porównanie zaprowadzić mogło... Pocieszajmy się myślą, że bądź-co-bądź kielkować poczynają zarodzie i podkreślmy w nagrodzie im. Orzeszkowej fakt, iż powstała ona z grosza publicznego, z inicjatywy społecznej, a więc z myśli szerszej, ze składek groszowych może, lecz tem ci jakościowo i ideowo droższych oraz znamiennejszych.

Inicjatywę prywatną cechować może gest większy, suma pokażniejsza lecz niewątpliwie dla fundatora łatwiejsza do zaofirowania.

Termin udzielenia nagrody im. Orzeszkowej przypada na początek kwietnia r. b. Naturalnie, że pytanie, kto będzie szczęśliwym wybrańcem, budzi żywy interes wśród sfer nie tylko literackich, lecz i pomiędzy szerokim, inteligentnym ogółem. I chociaż ostatnie słowo w tej sprawie wypowiedzą Zarządy Kasy Literackiej i Tow. Literatów, niemniej przeto sądziliśmy, że nie od rzeczy będzie zbadać fachową opinię i wysłuchać jej poglądów na rzecz i możliwą kandydaturę. Dlatego też redakcja „Świata” zwróciła się do kilkunastu naszych poetów, pisarzy i literatów z prośbą o wyrazy swej o-

pinii, tak co do tego, który utwór z okresu ostatnich dwóch lat uważaćby można za najwybitniejszy, jak i — kto powinienby otrzymać nagrodę im. Orzeszkowej za całą swoją dotychczasową działalność. Z natury rzeczy ankieta musiała pominąć cały skład jury a więc kilkunastu wybitnych literatów i krytyków.

Poniżej zamieszczamy udzielone odpowiedzi.

Zygmunt Bartkiewicz.

Wybitny powieściopisarz i znakomity felietonista za najlepszy utwór, jaki ukazał się w okresie ostatniego dwulecia, poczytuje „Puszcze” J. Weyssenhoffa.

— Jest to utwór tchnący istotną, szczerą polskością — motywuje swe orzeczenie autor „Psich dusz” — chociaż, — dodaje — zaiste trudną będzie rzeczą dla jury wybór jednego pisarza do udzielenia mu nagrody. Za zupełnie w równej mierze godnych uważać można — kilku. Jakże więc będzie z pozostałymi?

— Statut ustanowił niepodzielność nagrody.

— Niemniej przeto jury mogłoby, moim zdaniem, biorąc pod uwagę obecne wyjątkowo ciężkie dla literatów czasy, podzielić chociażby w drodze wyjątku nagrodę na, powiedzmy, pięć równych części i obdzielić niemi najbardziej zasługujących. Byłoby to, według mnie, bodaj nawet w dobie obecnej wskazane, w dobie, gdy nawet najbogatsze czasopisma uciekają się do honoraryjnych oszczędności, odbijających się na i bez tego chudych kieszeniach pisarzy. Widzę prztem jeszcze jedną trudność, jaka się bezwątpienia wyłoni przy rozstrząsaniach jury, jeżeli, mianowicie, wejdzie pod obrady całkowita działalność ewentualnych laureatów. Trudno tu będzie oddzielić osobiste, subiektywne sympatie jurorów, jako krytyków, od bezwzględnych wartości danych kandydatów.

— Kogoby jednak pan uważał za najgodniejszego nagrody za całą działalność pisarską?

— Przy ostatnich powyższych omówieniach — Reymonta.

Leon Choromański.

Autor „Zuzanny“ i „Złotej drogi“, artysta nawskroś oryginalny i zajmujący samoistne twórcze stanowisko w kadrach „młodszej Polski“, — Leon Choromański jest zdania, że niema dzieła w okresie ostatnich dwu lat, któreby zasługiwało na wyjątkowe wyróżnienie i nagrodę.

— Napisanie pięknego utworu, — motywuje swój sąd poeta, — lecz utworu reprezentującego jakoby muzykę dnia wczorajszego, jest dla człowieka talentu rzeczą względnie łatwą. Nagroda zaś powinna przypaść temu, kto w pracy artystycznej, choćby niewielkiej co do rozmiarów, zamknął zwycięskie przewyżczenie jakichś trudności, omijanych przez innych, jednym słowem — kto w swej najistotniejszej treści jest człowiekiem wyzwajającym siebie i innych. U nas czysty i szlachetny typ takiego rodzaju pisarza znaleźć trudno, może — niepodobna. Nasi pisarze naogół są złymi administratorami swego talentu; rozpraszają go, wypaczają, zatruwają kompromisami. Ów brak charakteru u pisarzy jest zjawiskiem tak niebezpiecznym, że najpilniejszym zadaniem krytyki jest właśnie na ten fakt zwrócić baczną uwagę. Więc *nie ideologia* winna być sprawdzianem przy ocenie dzieła, *lecz siła* artystycznego wypowiedzenia się. Zaniedbanie kultu energii doprowadza np. do tak zabawnych zjawisk, że paradytuje po świecie i uchodzi za typ „postępowy“, niewczorajszy, niejedna u nas jednostka uposażona li w pewien zasób ideologii radykalno-społecznej, która, gdy stać się ma „czynem artystycznym“, wydaje na świat utwory zgoła rachityczne. Jednym słowem, nagrodę należy dać dziełu, które zawiera jaknajmniej pierwiastków konserwatywnych, najmniejszy procent obciążenia balastem tradycji, najmniej naśladowania piękna już istniejącego, a najwięcej prężności, żądzy przewyżczenia schematu, tworzenia piękna nowego, zwycięskiego. Młody autor Kaden, którego nowe wydane przed wybuchem wojny są naogół okazami literatury spaczanej i drobnostkowej, w powieści „Proch“ dał stronie pełne wolności i energii i kto wie, czy nie on w ostatnich latach dokonał czynu zasługującego na wyróżnienie. Za całość pracy artystycznej udzieliłbym nagrody Żeromskiemu. W pracach tego pisarza czuć aptekę, w ostatnich słabych utworach rozlega się już zrzedzenie. Lecz napisanie choćby „Dziejów grzechu“ z całą ich głębią niedoli duszy kobiecej, z nieestetyzowaniem Ewy Pobratymskiej, gdy zazwyczaj u nas postacie kobiece ulegają przesłodzeniu, uważam za czyn w wielkim stylu.

Zdzisław Dębicki.

Poeta cichej zadumy, autor „Nocy bezsennych“ i ceniony krytyk, w

ten sposób formułuje swój pogląd na sprawę:

— Postawiliście mnie w kłopotcie, skoro bowiem istnieją *jury* specjalne, powołane przez Zarząd Tow. Literatów i Dziennikarzy oraz Komitet Kasy Literackiej do rozstrzygnięcia tej kwestyi, jakże, jako członek obu tych korporacji zawodowych, dla których z całą jestem lojalnością, mam brać udział w plebiscycie i to poza obrębem regulaminu, którego nie znam. Pomijając jednakże tę drażliwość, jest jeszcze inna strona omawianej sprawy. Mianowicie — w pytaniu mowa o dwu ostatnich latach. Są to lata wojny, a więc stanowią okres zatamowania ruchu wydawniczego we wszystkich trzech dzielnicach. W okresie tym wyszło książek bardzo niewiele, a jednak powstały dzieła o wybitnej wartości, jak II-ga część „Roku 1794“ Reymonta, „Księga ubogich“ Kasprowicza, „Wszystko i nic“ Żeromskiego, „Beniowski“ i „Ocean“ Sieroszewskiego, nowe wojenne Przybyszewskiego i t. d.

Niemожność wciągnięcia tych dzieł do współzawodnictwa z publikacjami książkowymi tylko dlatego, że wojna wstrzymała ich druk, nastrożca bardzo poważne wątpliwości co do tego, czy *jury* będzie mogło oprzeć się na tej zasadzie.

Prawdopodobnie pozostanie mu raczej rozstrzygać na podstawie „całej działalności literackiej“. Tu jednak jest kłopot jeszcze większy, pisarzy bowiem, którzy położyli odpowiednie zasługi, jest cały szereg, zaczynając od Sienkiewicza w pokoleniu starszem, kończąc na „młodej Polsce“, która już zdążyła w służbie swojej poswiecić.

Sądzę zatem, że najlepiej z całym zaufaniem czekać na orzeczenie *jury*, jako w tym wypadku najkompetentniejszego do dokonania bezstronnego wyboru.

Artur Górski.

Znakomity esteta i krytyk, autor „Monsalvatu“, w takich słowach streszcza swój pogląd na sprawę:

— Na zapytanie, jakj utwór literacki z okresu ostatnich dwóch lat uważam za najwybitniejszy, — nie umiem odpowiedzieć ściśle. Nie wszystko czytałem; przy obecnym utrudnionym obiegu książki nie wszystko, co było wydane, wpadło mi w ręce. A nuż właśnie wśród pominiętych ukrywa się utwór najwybitniejszy?

Na pytanie drugie, kto winienby otrzymać nagrodę za całą swoją dotychczasową działalność literacką — możnaby przytoczyć nazwiska kilka; biorąc jednak pod uwagę już udzielone nagrody, tudzież związek między słowem a życiem, ucieszyłbym się, gdyby nagrodę „imienia Orzeszkowej“ otrzymał w tym roku Sieroszewski.

Czesław Jankowski.

— Uważam Komisję kwalifikującą za ciało tak ze wszech miar kompetentne, — mówi znany poeta, krytyk i publicysta, — że zgóry i całkowicie piszę się na decyzję, jaką powyższe *jury* nagrody „im. Orzeszkowej“. Mojem zdaniem, będzie to orzeczenie najtrafniejsze, czy wypadnie ono na korzyść poszczególnego utworu, czy też całej działalności ewentualnego laureata. Więcej powiem: gdyby werdykt *jury* nagrodił nie ten utwór, lub nie tego autora, który według mego poglądu najbardziej zasługiwał na nagrodę, — to i wówczas bardziej będę wierzył w obiektywną słuszność kompetencji tak wytrawnych znawców, jak pp. Grzymała-Siedlecki, Jaroński, Kallenbach, Lorentowicz i Rogowicz, — niż w subiektywne przekonanie własne. Nagroda, komukolwiek się dostanie, dostanie się w najgodniejsze ręce.

Józef Jankowski.

— Gdyby zależało odemnie, — orzeka wybitny poeta-mystyk, Józef Jankowski, — dałbym po 2,500 rb i Żeromskiemu, i Tetmajerowi, i Reymontowi, i Weyssenhoffowi, i Przybyszewskiemu — a nawet i sobie, gdyż to by się na te czasy bardzo kieszeni literackiej każdej z tych osób przydało. Jeżeli chodzi o wybitny utwór w ostatnich dwóch latach, to *wybitność* taką może być rozważaną bardzo względnie.

Nie widzę utworu w tych czasach, któryby odpowiadał wszechstronnej wielkim wymaganiom sztuki. Nie widzę w tych utworach duży ludzkiej w promieniu nieskończoności, co jest kardynalną zasadą wielkiej sztuki. Jedną z twórców, realistów, malują z wybitną artystyczną rzetelnością, nie wznoszą jednak człowieka ponad miarę przyziemnych goryczy i radości — przyziemnej filozofii życia i użycia. Drudzy (rzekłbym — *dynamiści*) malują tę duszę *zaledwie* w kolizyi pogańskiej z fatum, czy to dziejowem czy osobowem (na gruncie przeważnie zmysłowo-pciowym) — bez wiary w wyzwoleń i bez poznania istotnych władz wyzwajających.

To stadyum nie może być miarą wielkiej sztuki — nie ze względu na odtwarzaną rzeczywistość (temat), lecz ze względu na uczucia i usposobienia samych twórców (natchnienie). Sztuka, zdaniem mojem, ma wyprzedzać życie i odbijać duszę w potencjalnej władzy zapanowania nad fatum i zmysłami. Stąd jej celowość, stąd jej wielka wiara, i stąd jej — *wybitność* jeżeli nie w zadośćuczynieniu, to przynajmniej w dążeniu (ideal).

Alfred Konar.

Wybitny powieściopisarz uważa za najlepszy utwór z okresu osta-

Z frontu Wschodniego.

(Fot. St. Dzikowski).



Pochód batalionu.



Jeńcy rosyjscy odżywiają się poraz pierwszy w niewoli.



Fot. St. Dzikowski.

Droga przez las.



Fot. St. Dzikowski.

Placówka w lesie.

tnich bodaj dziesięciu lat — „Wierna rzekę“ Żeromskiego.

— O ileby szukać przyszłego laureata w kadrach „młodych“, a przypuszczam — mówi autor „Oazy“, — że głównie tam szukać go należy, to uważałbym za najbardziej godne nagrody „Dzieje jednego pocisku“ Andrzeja Struga, utwór tchnący szczytną cechą prawdziwego artysty — szczerością.

O ile brać pod uwagę walory całokształtowej działalności, — za najgodniejszego nagrody poczytuję Wiktora Gomulickiego, tak z ilościowej, jak i jakościowej racji dobytku artystycznego. Na zakończenie uważam za stosowne dodać, że jako realista, tudzież w imię wyżej przeze mnie wzmiankowanego postulatu szczerości, nie wierzę w istotę naszego polskiego egzotyizmu, zarówno historycznego, jak współczesnego — na etnograficznym tle naszym czy cudzoziemskim. Jest to najczęściej dekoracja, pstra ornamentyka, przesłaniająca raczej, niż rewelująca istotne przejawy szczerzej głębi w psychice ludzkiej.

Stefan Krzywoszewski.

— Wydaje mi się, że tego rodzaju nagrody, co Jerzmanowskiego lub im. Orzeszkowej, w pierwszych latach winny pisarzy polskich za całokształt ich działalności wieńczyć. Później dopiero, gdy każdy z wybitniejszych twórców otrzyma nagrodę, będzie można przejść do wyróżniania poszczególnych dzieł. Oczywiście, w razach wyjątkowych można i trzeba odstępować od reguły.

Obecnie posiadamy w Polsce cały szereg pisarzy, którym się taki wyraz uznania należy. Tem bardziej, że wszyscy nieomal znajdują się w trudnym położeniu materialnym, Sienkiewicz, Żeromski, Reymont, Sieroszewski, Tetmajer, Daniłowski,

Przybyszewski, Kasprzowicz, Weysenhoff, Gomulicki..., czy każde z tych nazwisk nie mówi za siebie? Osobiście tym razem głosowałbym za Gomulickim. Należy do najstarszych. Przez kilkadziesiąt lat służył ojczystemu piśmiennictwu wiernie i z chwałą. Innych spotykały mniej lub więcej głośnie zaszczyty. O nim — skromnym odludku, trzymającym się zawsze na uboczu, często zapominano. Ten znakomity *literat* polski jest przytem *par excellence* synem Warszawy. Kocha ją i zna, jak mało kto. Mniemam, że warszawska nagroda im. Orzeszkowej w godne dostałaby się ręce, gdyby ją przyznano Gomulickiemu.

Antoni Lange.

Wykwintny poeta, pisarz o wielkiej, zachodnio-europejskiej kulturze, wspaniały tłumacz i krytyk — Antoni Lange uważa, że jest rzeczą względnie obojętną, kto otrzyma nagrodę.

— Można by ułożyć — mówi — listę ludzi najistotniej na nagrodę zasługujących. Zawierałaby ona, przypuszczam, dwadzieścia pięć nazwisk. Czyż wobec tego nie jest rzeczą względną, na kogo padnie los? Inną kwestyą, że nieraz w podobnych wypadkach nagroda dostaje się w udziale osobie najmniej zasługującej. Jest to już typowa cecha wszelkich konkursów. Jeżeli idzie o moje zdanie w tej sprawie, nie mógłbym się zdecydować na wyróżnienie jakiegokolwiek utworu z okresu dwóch lat ostatnich, a to z tego powodu, że naogół z racji doby wojennej pojawiła się bardzo znikoma liczba wydań. Brak należytego zakresu w porównaniach. Komu zaś przyznać nagrodę za całą działalność? — Chociażby Sienkiewiczowi, jako niewątpliwie najbardziej poczytnemu i największemu w opinii ogółu pisarzowi Polski.

Jan Lemański.

Wykwintny satyryk i subtelny ironista w odpowiedzi na pierwsze pytanie ankiety odpiera:

— Jakże mogę mówić o czyjejs najlepszej rzeczy, skoro uważam, jak zresztą w głębi ducha czyni to każdy literat, własne utwory za najlepsze w naszym piśmiennictwie.

— Siebie więc stawia pan na plan pierwszy?

— Jako literat, stanowczo — tak. Gdyby było przeciwnie, to jakżeż rację bytu dla mnie samego miałyby moja twórczość? Każdy zresztą literat z chwilą, gdy pisze — tworzy maximum, na jakie go stać. Są więc własne utwory dlań — najwyższe.

— Czy mógłby pan jednak wymienić artystów, których zdanie pana stawia na odpowiednio wysoki piedestał?

— Mogłbym. Czemu nie? Ale sam fakt oceny innych pod moim kątem patrzenia zsuwa mnie ze stanowiska *literata*, a umieszcza na posterunku *czytelnika*. Ankiecie zaś nie chodzi o zdanie czytelników, lecz o pogląd literatów, ten zaś w danym wypadku jest niewykonalny.

— Jury mimo to wyda werdykt z punktu widzenia literackiego.

— Przypuszczam. Chociaż ja, na miejscu jury, zaaplikowałbym nagrodę w sposób, który mi się wydaje najcelowszy.

— Czy można wiedzieć, jaki?

— Nawet alternatywny. Albo bym całą nagrodę, w myśl mej tezy o najlepszym utworze, podzielił wśród literatów polskich. Wówczas każdy otrzymałby kilkadziesiąt rubli i byłby napewno zadowolony z wyroku. Albo też, jeżeli statut wymaga bezwzględnej niepodzielności nagrody, urządziłbym coś w rodzaju fantowej loterii. Uproszona dama wyciągnęłaby z urny nazwisko szczęśliwca. Naówczas też nikt nie mógłby mieć pretensji do jury, — tylko conajwyżej do fortuny, do — fatum. Dla

nienagrodzonego ogółu zostałaaby natomiast pociecha, że wszystkie działalności wszystkich literatów polskich zostały uznane za godne nagrody w równej mierze.

Adolf Nowaczyński.

Frenetyczny twórca „Skotopasków sowizdrzalskich“, pisarz, którego temperament rozsądza, często kroć ramy własnego czynu, publicysta, krytyk i dramaturg, zakochany w groteskowej teźyznie, — Adolf Nowaczyński mniema, że „nagrodę Orzeszkowej“ możnaby, korzystając z nadarzającej się szczęśliwie sposobności, jako wyraz hołdu, ofiarować przedewszystkiem autorowi „Chłopów“.

— Aczkolwiek już dawno napisani, dopiero w ostatnich dwóch latach zyskali „Chłopi“ Reymonta, dzięki tłumaczeniu, wielki mir i popularność, przyczyniają się np. do pewnego rodzaju sympatycznego nawet zainteresowania się kwestyą polską w sferach intelektualnych niemieckich, szwajcarskich, skandynawskich. Za pomocą więc nagrody i polskie sfery literackie uwieńczyłyby tym trybem Reymontową genialność pisarską i jego obywatelską działalność.

Jeżeliby jednak dla jakichkolwiek względów czysto-formalistycznych nasz „polski Tolstoj“ (jak go w Europie nazwano) nie mógł otrzymać tej pierwszej „naszej nagrody Nobla“, to sądzę, że pod uwagę powinni być wzięci albo — Kazimierz Tetmajer, jako epik tatrzańskiego ludu, albo — Wiktor Gomulicki w uznaniu jego całej wysoce kulturalnej a rdzennie polsko-orientującej się działalności pisarskiej.

Artur Oppman (Or-Ot).

— Chociaż uważam, że jury nagrody „im. Orzeszkowej“, jako ciało najkompetentniejsze, niewątpliwie zawyrokuje najtrafniej, niemniej przeto sprawa cała interesuje mnie tak gorąco, że nie mogę nie skorzystać z ankiety „Świata“, by wyrazić swoje w tej mierze poglądy.

Temi słowy zagaił wywiad piewca starej Warszawy, znany poeta Or-Ot.

— Któż więc, zdaniem pana, zasługuje na nagrodę?

— Jeżeli brać pod uwagę całkowitą działalność literacką, to nade wszystko — Tetmajer. Niedoceniony to, a wielki artysta, odkrywca nowego, nieznanego nam dotąd świata — Podhala. Tak jak polskie morze — Kaszuby — czekają jeszcze na swego wieszczę, tak góry nasze — Tatry — mają go już w Tetmajerze. „Poezye“ tatrzańskie, pięć tomów epopei góralskiej „Na skalnem Podhalu“, „Janosik Nędza Litmanowski“, „Maryna z Hrubego“, toż to klejnoty wielkiej wagi w skarbcu piśmiennictwa naszego.

— Więc, Tetmajer?..

— Niewątpliwie, są inni zasługujący, że wspomnę o Kasproviczu, Weyssenhoffie, ale kandydatura Tetmajera posiada, według mnie, największą wartość, bo istotna wielka twórczość, jak już samo to słowo wskazuje, *polega na odsłanianiu światów nowych*. Oto najwyższy sprawdzian artyzmu. Dlatego też uważałbym, że udzielenie nagrody za pojedyncze dzieło wypadłoby na korzyść Sieroszewskiego za powieść p. t. „Beniowski“ i dalszy jej ciąg niejako, obecnie drukujący się w „Tygodniku“ — „Ocean“. Uważam „Beniowskiego“ za najpiękniejsze dzieło z okresu ostatniego dziesięciolecia bodaj. Powieść ta tchnie oryginalnością, rozmachem, odsłania nam *nowe* tło egzotyczne, daje *nowe* galerye typów, jest rewelacją. Owo to pionierstwo w utworach Tetmajera i Sieroszewskiego pociąga mnie i fascynuje najbardziej. Ma przytem Sieroszewski tak wysoki poziom i umiar artyzmu, że go zestawić można z takim pisarzem Europy, jak Anatol France. Jednak twórczem swem pionierstwem Sieroszewski przerasta France'a.

* * *

Zestawiając niniejszem płon naszej ankiety, widzimy, że pod pewnemi względami przy różnorodności poglądów na sprawę zarzysowują się jednocześnie pewne wspólnoty w zapatrywaniach literackiego ogółu.

Zarysowuje się mianowicie jed-

nomyślnie prawie zdanie, że udzielenie nagrody „im. Orzeszkowej“ za najwybitniejszy utwór z okresu ostatnich dwóch lat może napotkać bardzo poważne, o ile nie nieprzewybieżalne trudności.

Drugie natomiast pytanie ankiety, dotyczące zdania o ewentualnym laureacie za całą działalność pisarską, rozpatrywane jest różnorodnie co do osób, aczkolwiek krąg wszystkich kandydatów ścieśnia się naogół wokoło nazwisk najgłośniejszych w literaturze. I tu jednak wyczuć można pewną harmonię w poglądach: najsilniej podkreślaną bywa, jako walorowy sprawdzian działalności, rewelacyjność twórcza, wydobywanie zjaw *nowych*.

Na zakończenie zastrzedz się musimy przeciw ewentualnym nieporozumieniom. Ankieta niniejsza, mianowicie, bynajmniej nie miała na myśli jakiegokolwiek sforsowania opinii, gdyż zbyt przeświadczeni jesteśmy o kompetencji jury, byśmy mogli przypuszczać o jakiegokolwiek możliwości mimowolnego nawet interweniowania. Różnorodność chociażby zdań ankiety mówi pod tym względem sama za siebie. Zamiar nasz nie wykraczał poza granice zwykłej lustracji indywidualnych acz fachowych poglądów, nie wychodził poza ramy krytyczno-estetycznego rewizjonizmu, co w sprawach o charakterze publicznym (a do tych przecież działalność naszych pisarzy należy) jest rzeczą co pewien czas pożądaną.

Biuro pośrednictwa pracy dla kobiet.



Uroczystość poświęcenia nowego lokalu, przy ul. Żórawiej № 2, odbyła się dnia 18 b. m. Aktu poświęcenia dokonał ks. Żarembowicz (1) poczem przemawiała prezeska Biura pośrednictwa pracy dla kobiet, p. Klawerowa (2). Kierowniczką nowego biura jest p. Findeisen (3).

Fot. M. Fuks

Z T.Z.S.P. w Warszawie.

Wystawa Piotra Krasnodębskiego.

Zupełnie określona, zrównoważona, pewna swych celów indywidualność. To jest wrażenie pierwsze. Człowiek przytem nawskroś nowoczesny — a myśl malarska, temat, środki wypowiedzania się są zupełnie nowe.

Bywają natury złożone. Na urobienie się ich oblicz spadały światła różnych epok sztuki. Wchłaniały w siebie i z przeszłości i współczesności to, co im potrzebnem było, czy też pokrewnem. Kto umie odczytać hieroglify twórczy oblicza malarza — ten stwierdza podobne sytuacje często. Tutaj niema kombinacji, niema przeszłości, jest współczesność tylko i jedynie. Ale ta współczesność jest doskonale użyta. Krasnodębski był jej umiejętnym i pilnym uczniem. Gdybyśmy wystawę tych kilkudziesięciu prac artysty przenieśli do jakiegokolwiek ogólnie-europejskiego środowiska, nie różniły się czemś egzotycznym, czemś — co jest wskaźnikiem szerokości geograficznej, pod jaką dana indywidualność twórcza wypowiada się plastycznie. Jest to europejczyk. Główna siła, walor i ważkość tej sztuki właśnie w tem się zawiera. Stoi na wyżynie malarskiej, zdobytej przez sztukę obecną. Używa jej wymowy plastycznej całkiem swobodnie. To, czego pragnie, wypowiada niezmiernie jasno, dobitnie, po męsku.

Lapidarność tego stylu u nas jest nowością, nie mamy bowiem nikogo, kto by mógł w podobnie prosty sposób tyle powiedzieć o sobie.

Malarz i grafik jednak, utalentowany i nieraz malarz zawadza o grafikę — to znów grafik tłómaczy na formę uproszczoną drzeworytu malarstwo. A jest to zawsze tak doskonale opanowane technicznie, tak kapitalnie zniewolone w ramy, że w rezultacie powstają dzieła wielkiej dojrzałości. Tu nie widzimy prób. Tak najpierwszy, jak i ostatni z tych obrazów jest jednak dobry. Niema więcej lub mniej uprzywilejowanych rzeczy. To są obrazy dociągnięte. To, czego chciał autor, zrobił.

Krasnodębski, jako grafik, jest u nas jedynym barwnym ksylografem. Nie mamy bowiem innego artysty, pracującego z podobnym rezultatem na tem polu. Czy to będzie kapitalny portret hr. Krasińskiego, czy Lenca, czy Dobrzańskiego, frapuje nas zupełna pewność techniki. Prócz podobieństwa mają te prace swój styl. Coś z techniki nowoczesnego plakatu, coś z ducha ostatnich autolitografów — przeniesiono w zakres drzeworytnictwa. Miękość i małowartość takiej „główki śmiejącego się dziecka“ jest zastanawiająca.

Jest to rysownik pewny, trafny i mocny. Oczywiście, z pejzażem radzi sobie równie dobrze, jak z formami człowieka. Umie rozmawiać z przyrodą, widzi i odnajduje w niej samego siebie, przegląda się w niej, jak w tafli zwierciadlanej. Gdyby tak nie było — nie stworzyłby podobnych fragmentów, jak: „Kwitnąca jabłoń“, jak „Ogródek“. Aby tak patrzeć oczyma malarza, trzeba poprzód okiem duszy wchłonać w siebie czar zapładniający natury, trzeba z nią być za pan brat. Inny siedzi, drzemie na tym zdyżu składanym malarskim i portretuje, a obmalowywa oną swawolnicę przyrodę. siedzi — i nic! Nagabywa: laski, ru-



P. Krasnodębski. „Głowa dziecka“.

czaje, brzezinki, wierzby i topole, czy nawet „wschody“ jak, i „zachody słońca“, a na płótnie leży martwo szkaradne farbisko, niezdarnie, chociaż i pilnie rozartę. Wzajemności ani śladu. Mama-natura wcale nie widzi konkurenta o swą córkę, sztukę.

Taką twardą obojętność żywi natura do osób źle urodzonych — to jest, bez talentu.

Krasnodębskiego stosunek do przyrody jest zażyły. Bierze, co chce i kiedy mu się podoba — po przyjacielsku i otwarcie.

Nie ślęczy, nie fotografuje każdego listka, każdej trawki, czy grudełki ziemi. Tworzy swój świat, daje syntezę rzeczy widzianych, i dlatego jest tak dobrym malarzem. Obrazy jego mają coś do opowiedzenia i na dziś, i na jutro sztuki. Nie wątpimy, że malarz w ujmowaniu natury pójdzie dalej, że jeszcze ją uprości, i że ostatecznym wynikiem będzie styl własny: Piotra Krasnodębskiego.

Ale przyjrzyjmy się wystawie „Głowa dziecka“. Olejny obraz pozwala nam obserwować, jak autor sumiennie bada, jak *czule* patrzy na barwy, ile odcieni mieści w sobie ta doskonała robota malarska. Ten różowo-żółty ton posiada ogromne bogactwo urozmaiceń, jest soczysty i bogaty, prawdziwy i powietrzny.

„Pejzaż letni“, fragment natury z podmiejskich okolic Warszawy, w tem ujęciu nie ma nic z trywialności przedmiejskich widoków. Te rośliny, drzewa, łączka mają swoje piękno duchowe, są widziane przez miłość.

Cały szereg martwych natur i kwiatów pozwala malarzowi ćwiczyć swe oko. Daje on impresję widzianych barw, nic nie tracąc z form kwiatu, z czem rzadko kto umie sobie radzić.

Znamienną cechą tej sztuki jest jej służba samej sobie. Niema tam ani: „wielkiego tematu“, ani sensacji dnia, ani okolicznościowych dreszczy, ani aktualności. Malarz

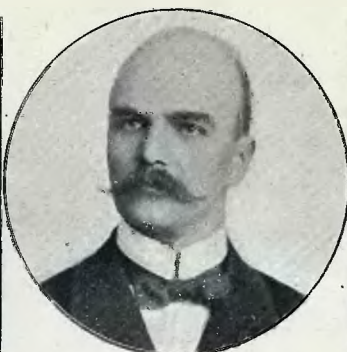


P. Krasnodębski. „Pejzaż letni“.

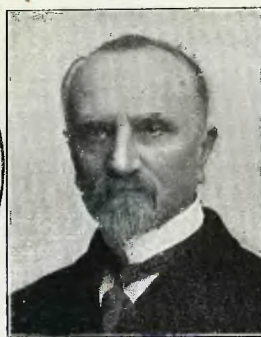


Ludomir Grendyszyński.

Dr. fil. Henryk Kaden.



T. Kociatkiewicz.



Stanisław Libicki.



Adolf Suligowski.

bierze tylko to pod pędzel, co mu każe wyćwiczone oko. Niema tam żadnej z przynęt, żadnego z zachęcających „sposobów” i pułapek na kupca. Malarstwo to interesuje swą robotą, swą malarską treścią. Kto lasy jest malarskiej anegdoty, opowiadań i faceciji plastycznych, próżnoby czas tam trwonił. Niech ominię te piękne prace.

Władysław Wankie.



Teatry warszawskie.

TEATR ROZMAITOŚCI. „Judasza z Kariothu, dramat Karola Huberta Rostworowskiego — w 5 aktach, 6 odsłonach.

Z radosnem zaciekawieniem oczekiwala Warszawa wystawienia najtejszego utworu dramatycznego, jaki ukazał się w naszej literaturze w ostatnich czasach. Rostworowskiemu, laureatowi konkursów literackich, brakowało jeszcze powszechnego uznania stolicy — i teraz dopiero tryumf ten przypadł mu w udziale.

Autor „Judasza” posiada w twórczości swojej te pierwiastki, które o wzroście wielkich poetów stanowią: prostotę i natchnienie. Oprócz tego łączy mistrzowskie opanowanie formy ze zmysłem urodzonego dramaturga, i dzięki temu cała budowa sztuki odznacza się jasnością i konsekwencją rysunku, akcja rozwija się z oczywistą i miublaganą logiką, a postaci dramatu żyją przed nami, jak dzisiaj, w całej grozie i rozpętaniu ogólnoludzkiej mamiętności, — odwiecznych a zawsze nowych.

W utworze Rostworowskiego odczuwać się daje potęga wiary i głębokiego przekonania. Nauka niewidzialnego w sztuce Nazarejczyka zapładnia umysły i serca ludzkie —

lecz również bój toczyć musi ze złymi instynktami i dążeniami poziomymi tych, co jeszcze „dobrej nowiny” w całej jej rozciągłości pojąć nie byli w stanie. Przebieg tej walki w duszy Judasza-apostola stanowi treść dramatu i tą prawdziwie tragiczną postacią skupia na sobie uwagę widza. Nie z czystego ukochania nauki Chrystusowej poszedł on za Nauczycielem. Pchała go chciwość i pycha, i żądza zaszczytów, chwały, władzy. „Widziałem tylko złoty tron, a na nim siebie apostola” wyznaje Juda, marząc o takiej potędze, jakiej nie było jeszcze na świecie szerokim. Potęga ta da mu siłę, aby zetrzeć w proch znienawidzonych przez się kapłanów, zapewni mu przemianę losu, nędznego i mizernego. I kiedy do Jeruzalem wyruszył, aby zagrać tę wielką, ryzykowną grę o życie, kiedy już ze zdolnością prawdziwego demagoga posiadał władzę nad rzeszą — okazało się, że on „poręką ludu wieżaty” wyprowadzony w pole został przez szpiegów kapłańskich. Rzesza zbuntowała się przeciwko wodzowi, zażądała cudów a nie kazań — i cała misterna budowa marzeń Judasza przegniata go swym ciężarem. Już nie o władzę chodzi, ale o ratowanie życia, nie o tryumf nauki, ale o strach przed śmiercią, której widmo pokazuje mu przed oczyma w Synhedryonie. Z żalem, z lękiem, ze wstrętem do siebie Judasz decyduje się na swą zbrodnię, bo on, który „ze strachu nie patrzy wzwyż”, innego wyjścia wybrać nie może:

„Tchórz! — Tchórz! — Przed tchórzem
Iniech ucieka
„Sam Bóg! — To zdrajca dziwnie chory,
„co, jeśli męka go zaskoczy,
„to wstrzyma. Ale spojrzeć mece...
„Nie! Nie potrafi! Brak mu siły!”

Obok Judasza postawił poeta, jako uosobienie wiary silnej i natchnionej, żonę jego, smukłą Rachel. Jej wiotka postać, która pielgrzymom jerozolimskim przypomina „cedry na Libanie” i „lilie, gdy pije rosę”, nie ugina się pod ciężarem życia tuła-

czego, nie drży przed troską o jutro. Lecz z powodu nikczemności charakteru Judy, Rachel, trapiąca jest przez „duszne niepokoje”, gdyż trzeźwo sądzi apostoła i wie, jaki on jest mały:

„Nieczystym duchem nawiedzony
„bliźni, złorzeczy, lecz nie kłamie.
„On kłamał, póki Prawdę szerzył,
„póki w zwycięstwo Prawdy wierzył...
„On kłamał Prawdę, a nie Kłam”.

Rachel wie, że miejsce Judasza nie jest wśród wyznawców Chrystusa lecz wśród jego wrogów, ale w tem ociąganiu się jego, w jego bezwiednem uleganiu czarowi nowej nauki czerpie nieszczęśliwa niewiasta nadzieję, że może uda się Jude na drogę prawdy nawrócić. Zawiedziona w swych najgorętszych pragnieniach, pozostaje jednak „z nim”, ponieważ dla nich „jedna dola i jeden ślub”. W pogoni za nim wpada do domu Annasza i stąd — po natchnionej apologii Chrystusa i Jego nauki — idzie odważnie na śmierć, jak „na gody, w godowej szacie...”.

Oprócz tych dwóch głównych postaci dramatu poeta przesuwając przed oczyma naszymi cały szereg drugorzędnych, umiejętnie powiązanych z sobą przez myśl przewodnią sztuki i — naogół trafnie odtworzonych przez naszych artystów. Na szczególną uwagę zasługują: Piotr (p. Kotarbiński), Jan (p. Słiwicki), Kaifasz (p. Knake-Zawadzki) i doskonale zagrany przez p. Staszковского — Rabban Annanel. W arcytrudnej roli Judasza wystąpił p. Adwentowicz, który grę swoją pod względem technicznym opracował niezmiernie szczegółowo i starannie. Co do zrozumienia przezeń psychologii Judasza, Judasza z dramatu Rostworowskiego, to możnaby pod tym względem mieć pewne wątpliwości. Bardzo wysoki ton kreacji razil czasami pewną jednostajnością, a wymowa o intonacji z żydowską brzmiącą wywoływała w audytorium zdziwienie — szczególnie wobec nieposzlakowanej polszczyzny

całego zespołu, a w pierwszym rzędzie p. Szyllinżanki w rolach Racheli. W odtworzenie postaci żony Judaszowej, której autor miał trudności sceniczne dał do przezwyciężenia, włożyła artystka całe zasoby intuicji i piękną grą opromieniła poetyczną rolę wiernej Racheli. Reszta wykonawców starała się poprawnie zastosować do swych protaгонistów.

Dekoracje (p. S. Jasińskiego) do „Judasza” są bardzo malownicze i dobrze pomyślane. Reżyserem dramatu zajął się p. Janusz; niektóre sceny zbiorowe wypadły bardzo dobrze, choć całość pozostawiała do życzenia; żywić trzeba nadzieję, że dramat Rostworowskiego, zawierający piękno sztuki, które nie mija, utrzyma się na stałe na scenie „Rozmaitości”.

A. P.



Żołnierze rosyjscy na froncie Bessarabskim, rozrzućeni w tyralierkę.

Ustąpienie szefa admiralicy niemieckiej.

Twórca marynarki niemieckiej admirał von Tirpitz ustąpił z zajmowanego stanowiska Energiczny, przedsiębiorczy, zyskał sobie wielką popularność. Uważano go w Niemczech za człowieka mocnej ręki. W stosunku do mniejszości narodowych stał na stanowisku zwalczającym politykę eksterminacyjną. Następcą jego został dotychczasowy pomocnik, von Capelle.



(Z humoru aktualnego).

Ludzie, o rety! na pierwszym piętrze pieką gęsi..

TATTERSAL A. KONOPNICKI

NOWOSENATORSKA 5/7,
kupno i sprzedaż koni.

Gorąco polecamy Szan. Czytelnikom zasługującą na poparcie szwaczkę, która jest w ostatecznej nędzy, niezdolna do pracy przymiera z głodu z matką staruszką. Ofiary dla Z. Świeżawskiej przyjmuje adm. „Świata”.

== NOWO == Zakład Pogrzebowy **== NOWO ==**
OTWÓRZONY St. Witkowski i S-ka, OTWÓRZONY
w Warszawie, Marszałkowska № 66 róg Wilczej.

Załatwia wszelkie formalności związane z pogrzebami na przystępnych warunkach. Długoletnia praktyka w pierwszorzędnym zakładach daje mi możność zapewnienia, iż wszystkie przyjęte zobowiązania wypełniać mogę ku zupełnemu zadowoleniu powierzających mi te czynności. Obsługa natychmiastowa i akurata. Na składzie trumny metalowe, dębowe i sosnowe, wszelkie ubiory żałobne, oraz wianki meta owe i Makarta.

Odpowiedzialny redaktor-wydawca: Czesław Podwiński. Klisze i druk wykonane w Zakł. Graf. Tow. Akc. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.
Za pozwoleniem niemieckiej cenzury wojennej.

Iszy Bar Amerykański
Senatorska 22.

Po gruntownym odnowieniu został otwarty. Polecając go łaskawej uwadze Szanownej Klienteli
Pozostajemy z szacunkiem
Leon Klemberg i St. Maciorek.

Skład Win i Restauracja



I. Lijewski i S-ka

Krakowskie - Przedm. № 8.

SPECYALNOŚĆ:

Stare wina Węg. dla Chorych i Rekonwalescentów, wszelkie gat. win zagranicznych oraz wina mszalne.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok VIII.

Warszawa, dnia 25 marca 1916 roku.

Nr 13.

Spór polsko-rosyjski.

Przeciwieństwo kultur czy przeciwieństwo interesów?

Możemy obecnie z całą otwartością rozpatrzeć nasz wiekowy stosunek z Rosją. Staje się to potrzebą niezbędną chwili. Świadomość tego, czem byliśmy dla Rosji i czem była Rosja dla nas, powinna głęboko wnikać w nasze rachuby polityczne. W nasz system patrzenia na stosunki międzymocarstwowe. Myśl też nasza polityczna, pracuje intensywnie, przysparzając materiału do wyjaśnienia sytuacji. Z szeregu publikacji w tej materii bezwzględnie na czoło dwa głosy się wysuwają: Prof. Stanisława Kutrzeby „Przeciwieństwa i źródła polskiej i rosyjskiej kultury” oraz Antoniego Chołmiewskiego „Istota walki polsko-rosyjskiej”. Nazwiska autorów wystarczają za poręczenie gruntowności i powagi w ujęciu przedmiotu. Prof. Kutrzeba, znany historyk, świetny znawca naszej państwowości nie wysuwa żadnych czynników, zabarwionych sentymentalizmem. Referuje historyczny przebieg walki polsko-rosyjskiej i pyta: „Czem tłumaczyć dziedziczość nieprzyjaźni, czem tłumaczyć ten antagonizm między Polską a Rosją, który przetrwał tyle wieków mimo łączności słowiańskiej?”

Przez Litwę odziedziczyliśmy do rozwiązania sporną sprawę ziem ruskich. Moskwa rościła sobie do nich zawsze prawa. W ekspansji swojej państwowej (na początku chodziło jej tylko o tereny Rusi) spotkała Moskwa polskie interesy mocarstwowe, które, połączwszy się z Litwą, stanęły do walki. Proces dziejowy walkę tę rozstrzygnął na korzyść Rosji. Co więcej, uderzył w samo serce sprawy: by wpływ polsko-państwowy zniszczyć doszczę-

tnie, ugodził w samą naszą państwowość.

Z chwilą jednak obalenia przeciwnika Rosja nie zaniechała prześladowania względem Polski. Terytorya sporne zajęła, ale i na obszarze etnograficznym polskim prowadzi dalej dzieło niszczenia naszej narodowości. Czemu? Prof. Kutrzeba z racji tej mówi:

„Szukałem odpowiedzi, dlaczego tak było? dlaczego nawet po usunięciu tego kamienia waśni polsko-rosyjskiej, jakim było władztwo nad ziemiami ruskimi, które Polska posiadała, do zżycia się nie przyszło, dlaczego Polska przeciw Rosji i zbrojnie występowała, dlaczego Rosja nie wyciągnęła dłoni do zgody. Niejedną tego przyczyną. Dużo ważyły tu obawy, że ziemie polskie, obdarzone swobodą państwową, mogłyby się stać zaczątkiem grupowania słowiańszczyzny zachodniej, katolickiej przeciw Rosji, i że polacy dążyliby do odebrania ziem historycznie polskich dawnej Litwy”. (Str. 21).

Najsilniejszą jednak zaporą, zdaniem prof. Kutrzeby, do wyrównania stosunków polsko-rosyjskich pod berłem carów, jest przeciwieństwo kultur. Szuka więc prof. Kutrzeba w religii, prawie, charakterze i obyczajach obydwo narodów cech charakterystycznych a decydujących. Kultura polska jest zachodnią.

„Złączyła nas z Zachodem cała przeszłość, związki w dziedzinie wiedzy i myśli, sztuki we wszystkich jej odłamach i obyczajach” (Str. 22).

W Rosji dokonywa się upaństwowienie religii, stopienie idei absolutyzmu z ideą prawosławia. Państwo pokrywa zupełnie Kościół, co

jest specyficzną cechą Wschodu, gdy na Zachodzie wszystkie państwa wyzwoliły się z pod władzy Kościoła i z walki tej wyniosły ideę tolerancji religijnej. „Jednym z pierwszych państw, które zasadę tolerancji przyjęło w praktyce, a następnie jako prawną zasadę, była Polska, która ją już w XVI wieku urzeczywistniła i uznane swobody wyznania prawie w pełni utrzymała do końca swego bytu” (Str. 40).

Pyta przeto prof. Kutrzeba: „Czyż potrzeba jeszcze podkreślać, jak duchy tych kościołów od siebie odbiegły? że te kościoły musiały się sobie tak silnie przeciwstawiać, a tem samem przeciwstawić sobie i te kultury, które pod tchnieniem ich nauki wzrastały?”

W dziedzinie prawno-państwowej Zachód cały i Polska stoi niewzruszenie przy sankcji i zasadzie prawa. Polska była jedyńcem państwem, które nie zaznało epoki absolutyzmu. „Chyba tylko anglik polakowi w tym względzie (to jest w poczuciu prawa) dorównywa, bo oba te narody pod tym względem najwięcej do siebie zbliżone”. (Str. 53).

Rosja zaś nie zna prawa. Zna władzę. Wychowała się, jak należy, niskie bić pokłony, i to jest jej zasadą rządzenia. Prof. Kutrzeba pisze: „Nie było w Rosji miejsca na zasadę prawa, zastępowała ją inna zasada: władzy, władzy bezwzględnej, której wszyscy ulegać muszą i powinni. Władzy, dla której czcigłównie przyniknięcie całe społeczeństwo: to „samodierżawie” (Str. 54).

Różnice charakteru, różnice kultury obyczajowej są powszechnie znane. Polska nie zna tych typów rewolucjonisty-prowokatora, nihilisty-caroidalizatora. Polska wychowała typ rycerza bez skazy, zaszczyliła głęboko poczucie honoru. Prof. Kutrzeba sądzi, że były cechy te „jednym z głównych powodów tarć i starć w XIX w., zwłaszcza po roku 31, po unicestwieniu wyodrębnionej od

Rosyi, choć w Rosyi granicach, państwowości polskiej" (Str. 79).

Myśl ta spowodowała, że znakomity publicysta, znany czytelnikom „Świata“ ze świetnych artykułów o „Miliardzie margrabiego Gerona“ i doniosłych uwag o naszej arystokracji, zajął się rewizją stosunków polsko-rosyjskich. Dał on w swojej arcyciekawej pracy p. t. „Istota walki polsko-rosyjskiej“ wyjaśnienia, odsuwające na plan dalszy rozbieżność kultur.

W walce polsko-rosyjskiej ścierają się nieublagane interesy. — Już w wieku XV państwo polskie stało na straży swoich wyraźnych tendencji politycznych. Tu chodzi, jak mówi Chołomiewski, „o Dniepr i Dźwinę“. „Ponury rapsod polsko-rosyjski ma ten właśnie motyw przewodni. Popelnia się bijąc w oczy przesadę, zwalając główny ciężar przyczyn wrogiego stosunku Polski i Rosyi na „przeciwieństwa kulturalne“, którym ostatnimi czasy przypisuje się jakieś niemal mistyczne znaczenie“. (Str. 44). I zwalca Chołomiewski „utarty komuną, że Kongresowe

Królestwo skazane było i tak na rychłą zagładę wskutek sprzeczności polskiego ustroju konstytucyjnego z absolutnym ustrojem rosyjskim, komuną błędny już w założeniu, gdyż system konstytucyjny nie jest jedyną formą życia państwowego, i konstytucya, wśród powszechnej wówczas reakcyi, mogła być paść a odrębność państwowa Królestwa istnieć“. Pogląd przeciwieństw kulturalnych „wielokrotnie został wyrażony z dogmatyczną pewnością w artykułach i broszurach, jakie wydano w ostatnich czasach.

DN.

Eustachy Czekalski.



LEON CHOROMAŃSKI.

Małe pęknięcie konwenansu.

Przed laty poznałem dymisyonowanego kapitana S. Ten wysoki, smutny mężczyzna był niegdyś oficerem legionu cudzoziemskiego i bił się w Afryce. Zachował nadługo wygląd młody. Należał do tych ludzi zagadkowych, dla których milczenie jest stanem normalnym a mowa czemś w rodzaju zakłócenia spokoju. Milczkowie, dokądkolwiek się zwrócą, budzą naogół niechęć lub rozczarowanie. Towarzystwo lubi gwar rozmowy i oczekuje go od każdego. Pomure i zacięte walki namiętności; z obowiązkiem, gorąca żądza Boga, dążenie do wielkości rosną nieraz w atmosferze milczenia lub nawet mruklivosti. Ale cóż to obchodzi towarzystwo? Chce ono gwaru słów, spadających z języka w podskokach akrobatycznych, a tymczasem milczenie jednego z obecnych mówi: „Chciecie, abym ja was interesował? Lecz naprzód wy mnie zainteresujcie“. Czyż może tego rodzaju dumna, zadowolona w sobie powściągliwość mierzyć się z rozrzutnością człowieka, który każde swe upodobanie chce uczynić publicznym, który, obnażywszy wszelkie zakątki swego temperamentu, wywraca go jeszcze na nice i pokazuje od podszewki? Lecz niech zagrmi głos prawdziwej poezyi, która przecie nie jest niczem innym, jak życiem głębokim i sumiennym, a przynurzone oczy i drwiący uśmiech gaduły wskażą, że nie jest to jego dziedzi-

na, że tu się on kurczy i krztusi, że — tu właśnie ścina mu się krew w żyłach.

Kapitan S. należał do ludzi milczących i do ludzi skromnych. Był jednym z tych niewielu, którym towarzystwo w drodze wyjątku wybacza ich milczenie. Zwracano się do niego z zapytaniem wprost tylko w chwilach ważnych i głowy obecnych kierowały się dyskretnie w stronę starego żołnierza, czekając, co też on raczy odpowiedzieć. Skądże taka uprzejmość i delikatność — rysy daleko rzadsze w towarzystwie, niż się wydaje etykietałnym paniom domu? Podbijała tu nawet ludzi tak roztrągnionych i wysoce niewdzięcznych, jak ludzie światowi, i zjednywać umiała umysły piękności milczenia kapitana. Milczenie jego nigdy, jak się zdaje, nikomu nie ciążyło i nie wprowadzało w zakłopotanie nikogo. Brał on — a rzecz to rzadka — miły udział w życiu towarzyskim, milcząc. Tylko dzieciak rzucił niebacznie kamieniem w cichy, głęboki staw, w którym za chwilę zaczęło się przeglądać gwiazdzista wiekiistość nocy, wywołując w ten sposób na dumającej wodzie bolesne skurcze, tworzące szeregi kół coraz szerszych i ginących jakby z niemyim wyrzutem. Kapitan S. miał coś z piękności takiego stawu. Jego jasne włosy zachowały tonację niemal młodzieńcze. Oczy, których kolor niebieski łączył się z odblaskami złotawymi, umieszczone

głęboko w brzoźnie twarzy, były smutne, ale niezgaszone. Te oczy i czoło, białe i świeże, nie pocięte boleśniami, nawisłemi brózdami, które świadczą więcej o klęskach i ruinie, niż o pracy myśli, wskazywały, że kapitan S. przeżegłował przez długie szeregi lat, nie zaznawszy ani razu śmiertelnej klęski, po której człowiek dźwiga się, czując, że coś w jego duchu zagasło nazawsze. Był to człowiek rozważny i rozważy, zapewne, była źródłem jego małomówności. Gdyby urodził się o dwa wieki wcześniej, zostałby pewnie mnichem, surowym dla siebie, pobłażliwszym dla innych, lecz ostatecznie zmierzającym niestannie — wśród skał i syrenich pokus — ku cichej przystani niebios. Kapitan S. był istotą łaknącą zbawienia dla siebie i innych. Nie był to duch tragiczny, lecz raczej spostrzegający zdaleka tragiczność i zwracający w stronę, gdzie cicho! W młodości, kiedy człowiek najteżej walczy i łamie się z sobą, kapitan S. może przerażony rysem *ostrożności* w swym charakterze, został wojskowym, aby w ogniu bitew przetopić siebie na suchawalszego człowieka. Mimo to pozostał przez całe życie widzem tylko i słuchaczem, wprawdzie bardzo miłym i orzeźwiającym swą obecnością innych, lecz niczem więcej. Dobre zalety jego natury sprawiły, że nie opadły go małe lecz uporczywe namiętności, jak chciwość lub próżność. Dom kapitana w miasteczku K. słynął z ogrodu, z owoców, z pięknych gatunków róż i z dobroczynnej, gorliwie unikającej rozgłosu ręki właściciela.

Pomiędzy mną a kapitanem zawiązała się przyjaźń powściągliwa, lecz pełna szacunku i uwagi — z mojej strony. Dwa razy podczas tych kilku miesięcy, kiedy spotykałem kapitana, widziałem go wzruszonym. Tu wspomnę o jednym tylko z tych dwu przypadków.

Było to na wsi, o kilka wiorst od miasta K., gdzie mieszkiał stary eks-wojskowy. Bywaliśmy z kapitanem w domu państwa Z., gdzie starano się o gości dla pewnych powodów, o których ci nie wiedzieli lub przynajmniej wiedzieli niewiele. Pani Z. w owych czasach miała już drugiego męża. Cała jej pierwsza młodość była jednym długim rozkochaniem się w sobie. Piękność jej dosięgła wówczas najwspanialszego rozkwitu — tego niebezpiecznego apogeum, po którym następuje fatalny zmierzch. A pani Z. nie chciała zmierzchu! Kiedy obracała się profilem, myślałem, że powinna żyć wieki zakłętą w marmurze. Nie powinny zginąć te usta ani nos o ruchomych, rozchylonych nieco nozdrzach! Była to prawdziwa Hera — wysoka, bujna, o złotawej pleci i ramionach. Myślało się przy niej o tych rzadkich wypadkach, kiedy urody kobiecej nie zepsuie żaden ryk chybiony. Wielka ambicyja kazała jej wyrokować o wszystkim z nie-

zachwianą pewnością siebie, z którą jej było, zresztą, bardzo do twarzy. Kto wie, czy nie ambicja i pycha zdrowego ciała więcej, niż serce spragnione, zawyrokowały, że „ostatni rok“ pani Z. ma być rokiem majestatycznego tryumfu, pora, kiedy doprowadzi ona „mężczyznę“ i rozciągnie pokonanego, zwałonego huraganem u swych stóp! I te stopy postawi mu na głowie!

Ofiarą tego pysznego zamachu był — trzeba to wyznać ku większej czci pani Z.! — własny jej mąż! (Takie rzeczy zdarzają się jeszcze — na prowincyi!). Kochanek, ukrywanie się, kłamstwo — wszystko to tę polską Herę napawało obrzydzeniem. Nie! właśnie miłość legalna, ale jaka! Niech zaćmi zachwyt, utkany z żądz i szacunku, dzięki któremu przed sześciu laty pan Z. oświadczył się o jej rękę! Gdy zamiar uwiedzenia pana Z. po raz wtóry zaświtał w umyśle jego pięknej żony, zakwitła ona, zaiste, okśniewającą młodością, a włosy jej nabrały blasku, jakgdyby słońce zajaśniało w jej głowie. Plan był zawily, prowadzony ze zdumiewającą uporczywością i jakby w natęczeniu. Co dziś było zamiarem, jutro dzięki bujnym żywiołom tej pani despotycznej śpiewało już w marzeniu i kipiało we krwi! Zacząć od wiosny, od lekkich, złotawych gałązek, od Słowackiego (polki w pierwszych stadyach miłości chętnie posługują się Słowackim) i kroczyć coraz dalej, głębiej — aż w zapamiętanie, ogień, w piekło! (Niechże ten skromny w istocie swej najgłębszej człowiek choć raz w życiu ujrzy prawdziwy wybuch Wezuwiusza — i to nie ruszając się z Polski!). Ach, co za galeryja cudowna i nęcąca spojrzeń, uśmiechów, gestów, obietnic, załotów, parskania niemal zwierzęcego, dreszczów — ach! nawet jęków! Wszystko to oddawać, płonąć, a widzieć zarazem chłodnemi, ciekawemi oczyma! Być gorącą w ramionach a chłodną mózgiem! Pani Z. przewidywała z rozkoszą, że pewnego dnia pan Z. zawaha się, czy zejść z nią aż na dno Tartaru! Ale ona zmieni go w Orfeusza, szukającego aż w piekle złotoramienną Eurydyki.

Biedny jej mąż uległ oczarowany i podbity. Lecz okazał się zbyt słabym, aby znieść, śmiejąc się zdrowo i radośnie, nieustanne wzbijanie się pod obłoki wśród drzew pachnącego raj i zapadanie w sny wyczerpania. Genialna kokietera tej nowożytniej mietylko Hery, lecz i Circe, zachwiała zdrowie duchowe tego niezbyt mądrego Ulissesa. W pewnych dniach w tygodniu pan Z. bywał pazurem, noszącym w dłoniach wzruszonych wspaniały tren jej sukni, a nawet Sardanapalem, mającym zamiar spłonąć z nią na wysokim stosie. Pani Z. umiała go uczynić bluźniercą, wydającym zdławionym głosem okrzyki na cześć świętej urody jej ciała! Lecz bywały dni, kiedy pan Z. stawał się

jej katem! Zwolna coraz widoczniej występowały objawy obłędu w postaci ataków ponurej zazdrości, której podkopy organizm nie umiał się oprzeć. Wtedy nieszczęśliwy błądził po ogrodzie w posępnym zamyśleniu, skradł się do okien swej wiernej a mimo to posadzonej żony, a jego chore, halucynujące ucho słyszało szepty i odgłosy pocałunków. Gwałtowne sceny zazdrości, podpatrywanie, niedorzeczne wyrzuty i groźby, wszystko to krzyżowało zamiary pani Z., powstawało wbrew jej woli, maciło godziny tryumfu. Zrywając się w „kochanku“ obłąkanie dręczyło okrutnie tę dyszącą żądzą hołdów dojrzała i bujna kobieta. Jej logiczna natura wzdrygała się na widok ciemnego, głuchego na zakłęcia obłędu, na widok zazdrości, podsycanej nie z zewnątrz, lecz z niedostępnych źródeł wewnętrznych, na widok namiętności, nie wywołanej dobrowolnie i błogosławionej, lecz występującej samowolnie, niby ciemne zwierzę, wypełzające z pieczary, gotowe rzucić się na *miłość pożądaną* i zagryźć ją... Lecz mimo wszystko pani Z. nie myślała, że mania męża jest chorobą. Sądziła, że jest to raczej bunt, który można i należy zdławić, że to jedno z tych gwałtów oplakanych, które legną się po rozwichrzonych głowach męskich!

Kapitan S. i wielu innych gości nie podejrzewali zapewne, że zapraszano ich poto, aby byli rodzajem eliksiru, uśmierzającego paroksyzmy nienaturalnej zazdrości. (Ja tylko już wtedy wiedziałem niejedno, a później dowiedziałem się wszystkiego — z ust najpewniejszych!). Ilekroć ponure usposobienie pana Z. zwiastowało nadciąganie burzliwej manii, jego żona rozsyłała czempredzej posłańców

konnych, spraszając gości. Dawny bon vivant i hulaka mietylko źle znosił samotność w ramionach złocistych, ale wogóle źle znosił wszelką samotność. Gwar rozmowy i szelest sukien licznych kobiet wprowadzał go w rodzaj ceremonialnego odurzenia. Bokobrody pana Z. lśniły uroczyście, gdy witał gości, a ręka stawała się miłą w dotknięciu, jak aksamit. Opowiadał anegdotki ze smakiem i apetytem żarłoka. Jego rozmowy przy stole i podczas przechadzek konwencyonalnych z gośćmi po parku podobne były do prestidigitatorskiego rozwijania zwojów lśniącej tkaniny przez zręcznego i biegłego w swym fachu subiekta. Kobiety, którym tak niewiele potrzeba, aby się uczuły okśnionymi, słuchiwały pana Z. z uśmiechem błędzącym po wargach i z przymrużonymi oczyma. Pani Z. widziała ten uśmiech i to przymrużanie oczu, lecz nigdy nie raczyła być zazdrosną. Kiedy, unosząc nieco tren sukni, ze szmerem przechodziła z miejsca na miejsce, uśmiechnięta arcysłodko, myślałem, że wraz z nią przenosi się z miejsca na miejsce amfora kipiącego fałszu i udania. Ręczę, że przechodząc przez salon, kiedy był pusty, wzdychała z rozkoszną ulgą, a słysząc zdaleka gwar gości na werandzie, zgrzytała białemi zębami, myśląc, że nienaturalna namiętność pozbawia ją rozkoszy sam na sam i nie daje napawać się coraz to innymi stadyami miłości i... coraz bliższym oddechu Hadesu... Złe błyski, zapalające się na mgnienie w oczach pani Z. na widok każdej młodej pary, szepczącej gdzieś przy firance, mówiły, że pani domu w obrębie swego dworu tylko sobie pozwala na zbytek i przepych miłości...

Dokończenie nastąpi.

M Hartill.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

NA TARCZY.

2

NOWELA.

— Dzień dobry. Idziecie się kąpać panowie? — zawołał, — Może pan Van Steyn usiadzie tu przy mnie

— Tak, tak — odrzekł du Toit. — Musimy się spieszyć. Pójdź, Piet. — Oba mężczyźni zniknęli w kabinie. Paweł rzucił papierosa.

— Czy kapitan Van Steyn do brze pływa — zagadnął.

— Tak powiada. Dlaczego pan pyta? — odrzekła pani Van Steyn.

— Bo mało kto się tu kąpie. Pan Ross mówił mi i kapitan Carlingford również, że —

Zająknął się. Uczuł, że nie w porę wybrał się z tą uwagą.

— Kapitan Van Steyn poradzi sobie — odparła jego żona — niech się pan o niego nie turbuje. Nie jest lękliwy. Nie byłby nawet panu

wdzięczny, gdyby mu to pan powiedział.

Paweł zaczerwienił się i wnet pobrał, ale nie dał poznać po sobie. Jaka przykrość sprawiły mu te słowa.

— Zawsze zazdrościsz tym, którzy umieją pływać — rzekł uprzejmie. — Sam o mało raz nie utonąłem i to było straszne. A innym razem, kuzynka moja, którą bardzo kochałem, i jej narzeczony utonął i to było jeszcze stokroć gorsze.

— Nie ratował jej pan?

Teraz z kolei pani Van Steyn uczuła, że popełnia niezręczność, zadając to pytanie. Paweł patrzył przed siebie w dal.

— Łowili ryby w łódce daleko od brzegu — rzekł — i spacerowy parowiec przeszedł koło nich za

blisko. Łódka się przewróciła; Magdalena nie umiała pływać i jakoś pociągnęła Jacka ze sobą na dno — A! oto i oni! Jak się pospieszyli!

Obaj mężczyźni przebiegli ławinę białego piasku i weszli do wody.

— Prześliczny dzień! — rzekł Paweł. — W taki dzień dobrze jest żyć i czuć się zdrowym!

Zdawać się mogło, iż zapomniał o tragedii, o której przed chwilą mówił. Pani Van Steyn pomyślała, iż ten młodzik musi być tak samo bez serca, jak jego matka, i zapewne jest tchórzem. Nie wiedziała, że wspomnienie tonącej dziewczyny prześladowało Pawła lata całe, że w tej chwili nawet przeżywał w duchu tę straszną chwilę tak dokładnie, jakgdyby to było wczoraj.

— Tak — rzekła — doskonały dzień do kąpieli. Patrz pan, jak kapitan Van Steyn płynie prosto na pełne morze.

Paweł spojrzał i nagle, nie wiadomo dlaczego, zrobiło mu się zimno w ten afrykański, słoneczny dzień. Zobaczył nie tylko kapitana Van Steyn'a, ale coś więcej jeszcze i sięgnął do kieszeni po lornetkę.

— Widzisz go pan? — zapytała pani Van Steyn.

— Tak — o, tak — odrzekł Paweł tego i odwilży językiem usta, które mu nagle wyschły. Czy ma jej powiedzieć? Czy ona sama nie widzi prądu, który uniósł jej męża? A może Van Steyn jest istotnie doskonałym pływakiem? Pociągł więc straszyc ją niepotrzebnie. Wszystkie te myśli zawirowały mu w mózgu równocześnie.

— Porucznik du Toit nie płynie — rzekł, aby coś powiedzieć.

— Nie; on nie umie pływać. Czy mogę popatrzeć przez pana szkło?

Szkła Pawła były bardzo silne i specjalnie do jego wzroku przystosowane. Nastawiwszy je odpowiednio dojrzał wyraźnie twarz Van Steyn'a bładą i przeciągniętą z wyczerpania i trwogi. Spokojny, że pani Van Steyn nic nie zobaczy, podał jej lornetkę.

— Proszę pania — rzekł. — Przepraszam, ale muszę odejść na chwilę. Mam powiedzieć parę słów porucznikowi du Toit.

Pani Van Steyn, przekonawszy się, że usiłowania jej zobaczenia męża przez lornetkę Pawła na nic się nie zdały, zauważyła, że du Toit i Paweł rozmawiają żywo o czymś przy samym brzegu, jakgdyby naradzając się i że holender położył przyjaźnie swą moką rękę na ramieniu młodzieńca.

Obaj patrzeli z napięciem na morze i teraz pani Van Steyn dostrzegła gołym okiem swego męża o jakieś dwieście jardów od brzegu. Płynął ku nim, ale coraz wolniej. Nagle du Toit pobiegł ku miejscu, gdzie w drewnianym schówku znajdowała

się ratunkowa boya*) z liną, a Paweł zdjął marynarkę i obuwie.

Strasne przecucie jakiejś katastrofy ogarnęło panią Van Steyn i w tej chwili okropny krzyk krzyk wzywający pomocy targnął powietrzem.

Biedna kobieta zdrewniała i uczuła, że włosy podnoszą się jej na głowie. Spojrzała, że Paweł płynie uciepiony u boyi, a du Toit przebiegł pędem koło niej, belkocząc coś niewyraźnie o telefonie.

Jak urzeczona, nie mogąc poruszyć się z miejsca, patrzyła rozszereżonemi oczyma na płynącego Pawła. Był on w istocie lichym pływaczem i tylko dzięki boyi utrzymywał się na powierzchni. Na szczęście wszystko zrobiło się tak szybko, że nie potrzebował płynąć daleko.

Gdy się przybliżył, Van Steyn chwycił go za ramię, wskutek czego obaj poszli pod wodę. Pani Van Steyn myślała, że to już koniec, ale po paru minutach wypłynęli. Prąd zwolna unosił boyę na pełne morze.

— Puść że pan do dyabła, nie ciągnij mnie tak — wybelkotał Paweł, z trudnością łapiąc oddech.

Na tę chwilę trwoga zaważnęła nim niepodzielnie. Strach przed utonięciem stłumił wszystkie inne uczucia. Woda była mu zawsze obcym żywiołem i nie umiał sobie z nią radzić.

Ale Van Steyn'a chwycił kurcz i wykrzywił mu twarz okropnie.

— Straciłem głowę — rzekł cierpko. — Przepraszam. Jakże my się stąd wydostaniemy?

— Du Toit poszedł telefonować po motorową łódź — odparł Paweł niewyraźnie.

Brzeg pusty przed chwilą zapełnił się ludźmi; jakiś człowiek płynął ku nim owiązany liną.

— To Carlingford — rzekł Van Steyn z głęboką ulgą w głosie.

— Trzymaj się pan tylko — zauważył Paweł po chwili.

Widocznym było, że Van Steyn coraz słabiej trzyma się boyi. Stłumione taf! taf! taf! motorowej łodzi dochodziło wyraźnie od Docków.

Van Steyn zacisnął zęby. Twarz mu zzieleniała.

— Kurcz mnie schwycił — wyszeptał. — Nie wytrzymam. Nie troszcz się pan o mnie, jeżeli pójdę na dno. Już i tak za wiele dla mnie uczyniłeś.

— Musisz pan wyrzucić — rzekł Paweł ze spokojem rozpacz. — To tylko parę minut. A ja panu pomódz nie mogę.

Istotnie ręce mu zgrabiwały; usta i palce sine miał z zimna; próbował jednak.

Carlingford przybliżył się tymczasem.

*) Boya — beczka uwiązana na wodzie dla wskazywania mielizny lub ukrytej rafy. *Przyp. tłum.*

— Oddaj mi go — rzekł do Pawła.

Pochwycił Van Steyn'a wprawnie ze zręcznością człowieka, dla którego ratowanie tonących jest powszednim chlebem.

— A ty, młodzieńcze? — rzekł — utrzymasz się jeszcze chwilę?

Pawłowi zęby szczękały; słabo mu było; dzielnie jednak stłumił to uczucie.

— Tak; tak — odpowiedział. — Nie troszcz się pan o mnie. Łódź będzie tu za chwilę.

Carlingford zawahał się trochę; lecz nie było czasu do stracenia.

Paweł usłyszał radosne okrzyki tłumów z brzegu, witające przybycie Carlingforda; i pojął, że został sam na wodnej roztoczy.

Morze było bardzo zimne, a od czasu do czasu wielkie bałwany przesłakiwały nieszczonego chłopca. Nie mógł już dojrzeć brzegu, podczas gdy stojący tam spostrzegali, jak boya coraz ciężiej i ukośniej zanurza się w wodzie.

Ktoś zbliżył się do pani Arlington, stojącej zdala spokojnie, i podał jej lornetkę Pawła ze słowami otuchy. Był to du Toit. Zwróciła ku niemu bładą, steżałą twarz.

— Mój syn — rzekła — zrobił to, co do niego należało. Podobnie jak mój starszy syn jest dzielny i odważnym mężczyzną.

Po raz pierwszy mówiła o Pawle w ten sposób.

Carlingford, świetny pływak, po raz drugi spieszył na ratunek, ale Paweł nie wiedział już nic, co się dookoła niego działo. W uszach dzwistały mu słowa spartańskiej matki, które czytał dziś rano:

„Powróćisz do domu z chwałą, nie wątp w to, jeżeli w walce nie porzucisz tarczy“.

Czy spełnił to zalecenie?

Pomyślał o Filipie, który będzie nosił w dziurce od guzika czerwoną wstążeczkę Legii Honorowej i o matce. Ona go zrozumie. Ona była, jak owe szlachetne matki Spartanek. Nie chciałyby, żeby wrócił bez tarczy.

I nagle cichy, stłumiony okrzyk wyrwał się z ust wódzów na brzegu. Pani Arlington spoglądała niewzruszona na niknącą pod wodą twarz syna.

Boya oswobodzona z ciężaru płynęła lekko po osłonecznionem morzu.

* * *

Tłum rozszedł się, pozostawiając panią Arlington samą, jakby w poczuciu, że tak jej będzie najlepiej. Tylko du Toit nie odstępował jej.

— To jest zupełnie tak samo — wymówił ochrypłym głosem — jakgdyby poległ w boju.

— Tak — odpowiedziała pani Arlington.

KONIEC.

Spotkanie.

*Na zdobywczym dzianecie piękny kasztelaniec
pędzi w blaskach księżycy w odległe ustronie,
sadząc śmiało przez jary, nie zważając na nic —
nie wstrzymują go wzgórza, ni odmetów tonie —*

*Pędzi dzianet przez góry, po ścieżkach się wspina,
szarpie złote wędzidło ręka niecierpliwa —
Na odległej polance drży wojewodzina,
patrzac w stronę, skąd do niej kochanek przybywa.*

*Na jedwabnych poduszkach zamkniętej kolaski
wojewodzina cudna na kochankę czeka,
srebrzą ciemne jej loki księżycowe blaski,
w uśmiech stroj twarzyczkę dźwięk podków zdaleka.*

*Konia kołem zatoczył, oddał pokłon szpada,
co zabłysła, jak dyament, i skoczył ze strzemiem,
i w ręce swoje ujął jej twarzyczkę bladą,
i długo patrzył w oczy, ich czarem oniemiem.*

*Pochyliły się głowy wśród mistycznych cieni,
co z miesięcznej poświaty na polankę płyną,
i w zakochane usta wpiły się spragnieni
kasztelaniec srebrzysty z cud-wojewodziny —*

*Co oderwą się usta, to się znowu chyla,
patrzą się w oczy oczy, a policzki płoną —
chwila zdaje się wieczną, to znów wieczność chwilą,
pieszczą wargi kochanka główkę pochyloną —*

*Patrzą oczy zuchwale do wnętrza kolaski
na twarzyczkę lilową, bladą, jak marzenie,
i rozpacz w nich widnieje, że wstające brzaski
i dzień rwący zza lasu od kochanki żenie —*

*Wolno rumak spieniony powraca ze schadzki,
głowę smutnie pochylit i wędzidła nie rwie —
lzy zakrywa przylbicą kochanek junacki.
gdy serce pod pancerzem toczą żalu czerwce.*

Wyjątkowy pech pana Józefa.

Zacofaństwa nie nie usprawiedliwia.
Ani wojna wszechświatowa, ani brak
poczty. Nawet — trudność przepustek...

Niestety, zapomniał o tem pan Józef, jak przepomnił również zapytać na wyjeździe żony, czy teraz w Warszawie panie noszą wąskie spódnice, czy szerokie?...

Za to małżonka nie przepomniła obarczyć mężulka całą furą poleceń do rodziny, nietylko do blizkich, ale i do tej dalszej, którą dziedzic Małej Wólki znał nieledwie z opisu tylko...

...Pan Józef idzie sobie Nowym Światem, w godzinę po przyjeździe — tuż przed nim biegnie smukła panienczka w żalobnym kapelusiku z małym welonem, w krótkiej sukieneczce do kolan, wysokich bucikach i jedwabnych pończoszkach. Dzieciak prawie: conajwyżej — pensjonareczka... Ogląda się za przyszybem z prowincyi raz, drugi... Za trzecim wręcz uśmiecha się do dziedzica Małej Wólki...

Z kolei, pan Józef przyspiesza kroku, by ją wyminąć, zajrzeć bliżej w oczy i przekonać się, co zaczął... Lekko zażenowana, uśmiecha się panienczka raz jeszcze, poczem chowa ślepkę w mufkę i pomyka rażno przed siebie... Rozkoszny berbeci!...

— Panna Wacia Stafińska, kuzy-nieczka z Wareckiej! — przemknęło przez myśl panu Józefowi, i wraz przypomniał sobie jedno z poleceń żoninyh... — Nie-

dawno podobno umarł im ojciec... Ależ tak: kłania mi się najwyraźniej i przy-wołuje mnie! Peka ze śmiechu, że jej nie poznaje! Dolicha, mam trochę krótki wzrok... Ucieka do bramy! A, kosa!... Stanowczo, ten dzieciak rozkoszny, to... I wali za rozkosznym dzieciakiem do bramy, szczerze wzburzony —

— Panna Wacia pozwoli, że — — — Ja właśnie do panny Waci do domu —

Panna Wacia przerywa arbitralnie: — Zawracanie głowy! Do domu do mnie nie można! Jeżeli pan — — —

Jak z procy, wylatuje pan Józef na ulicę, szczerze wzburzony — — —

Ale dyabeł nie śpi. I niechno jeszcze trafi na człeka z prowincyi, który przez półtora roku nie był w stolicy — — —

Już pod wieczór, po załatwieniu blizkich interesów rodzinnych, pana Józefa ogarnia nastrój wojowniczy... Maluczko, a gotów sam podjąć ofensywę! Co na placu, to — — — Hu, a na tym starym Nowym Świecie nieprzyjaciela tak dużo!... I wszystkie w wysokich bucikach — — —

Z pod woala — nie po raz pierwszy od rana! — łyska ku niemu granat zabójczego spojrzenia... Wszystkie spojrzenia wydają mu się dziś zabójcze!

Spojrzenie uciekło... pan Józef widzi przed sobą czarujące tyły nieprzyjaciela. Ten sam mały, okrągły kapelusik, pod nim równie niedługi welonik żalobny — wzrost tylko trochę większy i tu-

sza nieco okraglejsza — za to ta sama krótka spódniczka i czarne pończoszki...

Zrównał się — obmyśla atak zbliża. Nieprzyjacieli maskuje twarz mufką — *toujours le même!* — i spieszniej jeszcze uchodzi przed siebie...

Na zakręcie zwalnia kroku. Zdobyczym rzutem pan Józef oskrzydla ofiarę:

— Można do pani?...

Napadnięta — osłania się miażdżącym ogniem wzrokowym. Ale spojrzała w twarz napadającego — i wybucha śmiechem zadowolenia.

— Ależ owszem, proszę bardzo.

Pan Józef usłuchał zaproszenia — zlekka zażenowany... Dwa kroki od rogu, wchodzi do bramy domu.

— Paniusia tu mieszka? — pyta zwycięzca tak, by coś powiedzieć...

— Tak jest, panie Józefie. A cóż tam u — — —

— Pani mnie zna??...

— Nie poznaje mnie pan? A ja pana od razu — — — Matka Waci Stafińskiej — — —

Dziedzic z Małej Wólki radby się zapadł w jednej chwili pod ziemię!

Ale, niestety, musi iść na górę, wypełnić polecenie małżonki, i na dobytek wyłomaczyć się, dlaczego biegł tak chyżo za stateczną, siwiejącą już wdową, a nie przywitał się od razu?

Pan Józef kręci się, jak piskorz, z rozpaczliwym uporem naprowadza rozmowę na politykę, na drożynę, na okupację — a w duchu powtarza sobie raz po raz:

— Trzeba mojego wyjątkowego pecha!...

B. Górczyński.

B A K.

POWIEŚĆ.

13

— No, no, Cezarze, przesadzasz. Ja go równie nie lubię, ale co czynić go gorszym, niż jest? Jego obejście jest rzeczywiste trochę sztuczne i drażniące, i ciągle rzucanie dowcipami muży wkońcu, ale w gruncie są to rzeczy niewinne.

— Być może; ale mnie odpycha człowiek, który drwi ze wszystkiego. Poprośtu nie mogłem słuchać na ostatniem zgromadzeniu u Fabrizi'ego, jak piotunował na reformy w Rzymie, jakgdyby wszystko chciał unurzać w błocie i we wszystkim dopatrywać się jakichś nikczemnych powodów.

Gemma westchnęła.

— Nie idąc tak daleko, ja jednak nie dzielę waszego zapалу i, powiedziałbym, zaślepienia na tym punkcie. Cóż, papież może mieć jaknajlepsze zamiary, ale czy je zdoła przeprowadzić? Zresztą, nie mówmy o tem.

— Masz słusność; w tym jedynym jedynym względzie poglądy nasze różnią się diametralnie. Nie przekonamy się wzajemnie, więc szkoda czasu, tembardziej, że ja tu w innej sprawie przyszedłem.

I z temi słowy wydobyl z kieszeni jakiś rękopis.

— Cóż to takiego?

— Ot, niemądry artykuł, który ten przeklęty Rivarez przesłał wczoraj komitetowi. Wiedziałem, że wcześniej lub później wystrzeli z takim głupstwem.

— Znowu, Cezarze? Rivarez może nie być miłym, ale głupim nazwać go nie można.

— O! nie przeczę, że jest aż za nadto sprytny na swój sposób; ale lepiej przeczytaj sama.

Artykuł był zjadliwą krytyką szalonego zapalu, jakim całe Włochy płonęły jeszcze z powodu reform papieskich i Jego osoby. Jak wszystko, co wychodziło z pod pióra Baka, satyra ta tchnęła krawcówką, nieprzejednaną nienawiścią, ale pomijając jaskrawe wybryki stylu, Gemma w duszy przyznawała pewną słusność autorowi. Ten zapal istotnie szedł za daleko.

— Zgadza się z tobą, że to strasznie złośliwe — rzekła, składając rękopis. — Ale co gorzej, że to wszystko prawda!

— Gemmo!

— Ależ tak. Człowiek ten ze szczególną bystrością ugodził w achillesową piętę kwestyi i tego mu zaprzeczyć nie można.

— Więc jesteś za tem, żeby wydrukować to bezceństwo?

— A! to zupełnie inna rzecz. Bynajmniej nie jestem za wydrukowaniem tego, jak powiadasz „beze-

ceństwa” w tej formie, bo to by tylko zniechęciło i odstraszyło wszystkich, nie odnosząc pożądanego skutku. Ale gdyby Rivarez przerobił tę rzecz i usunął z niej wszystkie osobiste wycieczki, byłaby to cenna praca. A jako polityczna krytyka, jest to utwór wyborny. Nie przypuszczałam, żeby Rivarez pisał tak dobrze. Mówi rzeczy domagające się powiedzenia, a których nikt z nas nie miał odwagi powiedzieć. Ten ustęp na przykład, w którym porównywa Włochy do pijaka płaczącego rzewnie w objęciach złodzieja plądrującego mu po kieszeniach, jest poprostu świetny.

— Gemmo! To najgorsze w tym całym artykule! Nienawidzę takiego zjadłego szczerkania na wszystko i na wszystkich.

— I ja również; ale nie w tem rzecz. Rivarez ma bardzo nieprzyjemny styl i jako człowiek nie jest zgola pociągającym; ale gdy powiada, żeśmy się upili procesyami, czułościami i okrzykami na cześć miłości i zgody, i że znajdują się tacy, którzy z tego skorzystają, ma po tysiąc razy słusność. Żaluję, że nie byłam wczoraj na posiedzeniu Komitetu. I cożście ostatecznie uradzili?

— Z tem tu właśnie przyszedłem. Chcemy cię prosić, żebyś poszła do niego, porozmawiała z nim o tem i nakłoniła go, by tę rzecz złągodził.

— Ja? Ależ ja go prawie nie znam i zresztą on mnie niecierpi. Czemuż ja mam iść, nie kto inny?

— Poprostu dlatego, że nikt tego dziś zrobić nie może. A przytem jesteś rozsądniejsza od nas; nie będziesz wdawała się w niepotrzebne argumenty, i nie pokłóciś się z nim, co by się każdemu z nas przygodziło.

— Tego z pewnością nie uczynię. Ano, coż; pójdę, skoro chcecie, aczkolwiek słabą mam nadzieję powodzenia.

— A ja jestem pewny, że ci się uda. Tak; i powiedz mu, że z literackiego stanowiska wszyscy jesteśmy zachwyceni tą pracą; to go wprowadzi w dobry humor i poza tem jest szczerą prawdą.

Bak siedział przy biurku, obladowanym kwiatami i paprociarni, z otwartym listem na kolarach i patrzył w ziemię. Kudłaty pies, leżący u jego nóg na dywanie, podniósł głowę i warknął, gdy Gemma zastukała do otwartych drzwi; Bak zaś powstał spieszenie i skłonił się wchodzącej ze sztywną, ceremonialną grzecznością. Twarz jego przeobraziła nagle twarde, obojętne wyraz.

— Zbyt pani dobrą jesteś — rzekł lodowato. — Gdybyś pani uprzedziła mnie, że życzysz sobie pomówić ze mną, byłbym pospieszył na wezwanie.

Gemma, widząc, jak bardzo niepożądanym jest gościem, szybko i zwinie wyłożyła mu cel swej bytności. Skłonił się znowu i podał jej krzesło.

— Komitet prosił mnie, bym udała się do pana, w sprawie pańskiego artykułu, co do którego wywiązała się pewna różnica zdań.

— Spodziewałem się tego!

Usmiechnął się i usiadł naprzeciwku niej, stawiając wielki wazon z chryzantemami pomiędzy sobą a światłem.

— Większość członków zgodziło się na to, że aczkolwiek literacko artykuł pański wzbudził ich nieopisaną zachwyt, nie nadaje się do druku w obecnej swojej formie. Boją się, że gwałtowność tonu może obrazić i odstraszyć osoby, których sympatya i poparcie są bardzo stronnictwu pożądanem.

Bak wyciągnął chryzantem z wazonu i zaczął zwolna oskubywać białe płatki jeden po drugim. Gdy oczy Gemmy padły na szczupłą rękę oskubającą kwiat doznała dziwnego wrażenia, jakgdyby ten ruch nie był jej obcym.

Jako utwór literacki — zauważył Bak stłumionym, chłodnym głosem — jest to rzecz bez najmniejszej wartości, i zachwycać się nią mogą jedynie ludzie nie mający pojęcia o literaturze. Co się tyczy wywołania obrazy, to właśnie było moim celem.

— Rozumiem. Chodzi tylko o to, czy nie obrazisz pan tych, którychby należało oszczędzać?

Wzruszył ramionami i włożył wyskubany płatek pomiędzy zęby.

— Sądzę, że jesteś pani w błędzie — rzekł. — Rzecz tak się przedstawia: w jakim celu zaprosił mnie tu Komitet? Bym zwalczał i ośmieszał Jezuitów. Spełniam moje zadanie, o ile umiem, najlepiej.

— A ja upewniam pana, że nikt nie wątpi ani w pana umiejętność, ani w dobre chęci. Komitet tego tylko się lęka, że mógłby sobie marażić stronnictwo liberalne i że miejscy robotnicy mogliby mu odmówić poparcia. Artykuł pański w zasadzie wymierzony jest przeciwko Sanfedystom, ale wielu czytelnikom może się on wydać napaścią na Kościół i nowego Papieża, a to, ze względów politycznej taktyki, Komitet uważa za niepożądane.

— Zaczynam rozumieć. Dopóki trzymam się tej gromadki klerykalnych panów, z którymi stronnictwo jest obecnie na złej stopie, mogę mówić, co mi się podoba; ale niech tylko dotknę drogi Komitetowi księży, prawda, jak pies musi iść do budy. Oczywiście, muszę ustąpić przed decyzją Komitetu, ale to mi nie prze-

szkodzi myśleć, że strzela on na prawo i na lewo a m...m...monsignora M...m...montan...nelli'ego zostawi pośrodku.

— Montanelli'ego? — powtórzyła Gemma. — Nie rozumiem pana. Mówisz pan o biskupie Brisighilli?

— Tak; nowy papież mianował go właśnie kardynałem. Mam tu list o nim. Chciałabyś pani posłuchać? Piszący jest jednym z moich przyjaciół po tamtej stronie granicy.

— Granicy papieskiej?

— Tak. Oto co mi pisze —

Wziął list, który trzymał w ręku, gdy weszła, i zaczął czytać głośno, jakając się gwałtownie:

„B...b...będziesz m...m...miał nie za...za...długą p...p...przyjemność u...u...jrzenia jednego z naszych naj...za...za...cięższych w...wrogów, k...kardynała Lorenzo M...montan...nelli...bi...s...kupa Brisighelli. Za — —

Urwał, milczał przez chwilę, poczem zaczął znowu, bardzo powoli i ciągnąc niezdolnie każdy wyraz, ale już bez jakania:

„Zamierza on zwiedzić Toskanię w ciągu przyszłego miesiąca w celach pojednawczych. Będzie kazał naprzód we Florencji, gdzie zabawi około trzech tygodni, poczem pojedzie do Sienny, Pizy i wróci do Romanii przez Pistoję. Pozornie należy do stronnictwa liberalnego i jest osobistym przyjacielem Papieża i kardynała Feretti. Za Grzegorza był w niefasce; trzymano go na uboczu w małej dziurze w Appeninach. Teraz nagle wysunął się na front. W gruncie rzeczy jest on takim samym manekinem Jezuitów, jak każdy inny Sanfedysta w kraju. I ten jego objazd jest zapewne ich dziełem. Montanelli jest jednym z najświetniejszych kaznodziej Kościoła, a na swój sposób równie szkodliwym, jak sam Lambruschini. Zadaniem jego będzie podtrzymywać zapal dla Papieża i zaprzętać publiczną uwagę do czasu, aż wielki książę podpisze pewien projekt, który Jezuitci mają mu przedłożyć. Co to będzie za projekt, nie mogłem się dowiedzieć. A dalej pisze: „Czy Montanelli zdaje sobie sprawę, w jakim celu posyła go do Toskanii, czy też Jezuitci posługują się nim tylko, nie mogłem wyrozumić. Co się tyczy jego prywatnego życia, to, o ile mi wiadomo, jest ono nieskazitelne“.

Położył list i siedział, patrząc na Gemmę w pół przygniętemi oczyma, widocznie w oczekiwaniu, co powie.

— Czy jesteś pan pewny ścisłości; informacji swego korespondenta? — zapytała po chwili.

— Odnosnie do nieskazitelności prywatnego życia Monsignora M-mon-t-an-nelli'ego? Nie. Ale i on również. Zarważyłaś pani, że się zastrzega: „O ile mi wiadomo“.

— Nie o to mi chodzi — prze-rwała chłodno — ale o jego udział w owej misji.

— Co do tego polegamy całkowicie na zdaniu piszącego. Jest to mój dawny przyjaciel — jeden z towarzyszy 43-go roku, i zajmuje stanowisko wyjątkowo sprzyjające śledzeniu rzeczy tego rodzaju.

— Zatem urzędnik przy Watykanie — pomyślała Gemma. — Więc takie mamy stosunki? Odgadywałam to potrosze.

List ten, oczywiście, jest ściśle prywatny — ciągnął dalej Bąk — i pojmuję pani, że treść jego nadaje się wyłącznie do wiadomości członków Komitetu.

Zbyteczne zastrzeżenie. A wracając do artykułu, czy mogę powiedzieć Komitetowi, że zgadzasz się pan na niektóre zmiany i ogólne złagodzenie tonu, czy też — —

— Nie sądzisz, signora, że te zmiany zaszkodzą również piękności „literackiej kompozycji“?

— Pytasz pan o moje osobiste zdanie. Ja jednak przyszedłam tu wyłącznie, jako przedstawicielka poglądów Komitetu.

— Czy to ma znaczyć, że pani nie podzielasz ich?

Schował list do kieszeni i pochylił się teraz ku niej z pewnem natężeniem, które zmieniło zupełnie wyraz jego twarzy.

— Jeżeli pan chcesz wiedzieć, co oświadczyć mi się, to nie zgadzam się z większością na obu punktach. Nie zachwyca mnie artykułem ze stanowiska literackiego i uważam, że jest prawdziwy, jako przedstawienie faktów i mądry, jako taktyka.

— To znaczy — —

— Zgadzam się z panem najzupełniej, że Włochy uległy otumanieniu i że cały ten zapal i radość zawiodą je w jaką straszną matnię. I cieszyłabym się szczerze, gdyby to było śmiało i otwarcie powiedziane, nawet za cenę obrazy lub odstręczenia pewnej liczby naszych obecnych popleczników. Ale jako członek stowarzyszenia, którego większość zapatruje się na to wręcz przeciwnie, nie mogę występować z memi osobistymi poglądami, i co więcej, myślę, że jeżeli rzeczy tego rodzaju mają być wogóle poruszane, to trzeba to czynić spokojnie i ogólnie, ale nie w tonie, jakiego pan używasz w swoim artykule.

— Pozwolisz mi pani przejrzeć ten rękopis?

Wziął go i zaczął przerzucać. Po chwili wyraz niezadowolenia wypiętnował się na jego twarzy.

— Masz pani najzupełniejszą słuszość. To jest napisane, jak monolog dla *café-chantant*, a nie jak polityczna satyra. Ale co mam czynić? Jeżeli napiszę wstrzemięźliwie i przyzwoicie, publiczność nie zrozumie i powie, że rzecz jest nudna i nie dość złośliwa.

— Czy nie sądzisz pan, że złośliwość staje się nudną, gdy jej mamy za dużo?

Spojrzał na nią przenikliwie i wybuchnął śmiechem.

— Widocznie signora należy do tej strasliwej kategorii osób, które mają zawsze słuszość. Więc, jeżeli będę ulegał pokusie złośliwego dowcipkowania, stanę się z czasem tak nudnym, jak Signora Grassini. Nie-ba! Co za los! Nie; nie marszcz pani czoła. Wiem, że mnie nie lubisz i wracam do interesu. Rzecz zaś praktycznie tak się przedstawia. Jeżeli usunę osobiste wycieczki, a główną treść zostawię bez zmiany, Komitet uzna, że z wielkim żalem nie może wziąć na siebie odpowiedzialności za wydrukowanie mojej pracy. Jeżeli natomiast wyłuszcze polityczną prawdę i wszystkie złośliwe przydomki wystosuje przeciw wrogom stronnictwa, Komitet będzie wynosił artykuł pod niebiosą, a pani i ja będziemy wiedzieli, że nie wart jest druku. I oto mamy wcale ładne metafizyczne zagadnienie: Co lepiej napisać: rzecz bez wartości i być wydrukowaną; czy napisać rzecz wartościową i nie być wydrukowaną? Jakże, signoro?

— Nie sądzę, żeby takie krańcowe alternatywy obowiązywały pana. Jeżeli pan usuniesz tylko osobiste wycieczki, Komitet zgodzi się wydrukować artykuł, pomimo, że większość w zasadzie będzie mu przeciwną; i jestem przekonana, że publikacja ta okaże się bardzo pożyteczną. Ale trzeba będzie odłożyć na bok zjadliwość. Jeżeli się mówi coś takiego, czego treść jest dla czytelników trudną do przełknięcia pigułką, nie należy przestraszać ich na wstępie jej kształtem.

Bąk westchnął i z rezygnacją wrzucił ramionami.

— Ustępuję, signoro, ale pod jednym warunkiem. Jeżeli mnie teraz pozbawicie żądla, muszę to sobie powetować przy najpierwszej sposobności. Gdy Jego Eminencya, nieskazitelny kardynał, przybędzie do Florencji, ani pani, ani Komitet nie wzbronie mi używać na nim do syta. To mi się należy!

Mówił chłodno i swobodnie, wyciągając chryzantemy z wazonu i trzymając je pod światło.

— Jak mu się ręka trzęsie pomyślała Gemma, patrząc na drgające w jego palcach kwiaty. — Czyżby pił?

— To już omówisz pan z innymi członkami Komitetu — rzekła wstając. — Co do mnie, nie mam pojęcia, jak się oni na to zapatrywać będą.

— A pani?

Powstał także i oparł się o stół, przykładając kwiaty do twarzy.

Zawahała się. Pytanie to sprawiło jej przykrość, budząc dawne, bolesne wspomnienia.

— Nie wiem sama — odparła zwolna. — Przed laty znałam trochę Monsignora Montanelli. Był wtedy kanonikiem i przełożonym teologicznego seminarium w prowincji

cyi, w której mieszkałam, jako młoda dziewczyna. Nasłuchiłam się o nim dużo od kogoś — kto znał go zblizka i słyszałam same tylko pochwały. To też wierzę, że przynajmniej wtedy był niepospolicie szlachetnym człowiekiem. Ale to było dawno i mógł się zmienić. Nieograniczona władza znieprawia tylu ludzi.

Bak podniósł głowę z nad kwiatów i popatrzył na Gemmę stanowczo.

— W każdym razie — rzekł — jeżeli Monsignor Montanelli nie jest sam łotrem, jest niewątpliwie narzędziem w rękach łotrów. A mnie to wszystko jedno — i moim przyjaciółom z tamtej strony granicy również. Kamień na drodze może mieć jaknajlepsze zamiary, ale pomimo to trzeba go z drogi usunąć. Pozwól pani!

Zadzwoń i utykając poszedł otworzyć drzwi pani Gemmie.

— Wielce obowiązany za te odwiedziny, signoro. Czy mogę posłać po powóz? Nie? A więc, moje uszanowanie. Bianco, otwórz frontowe drzwi.

Gemma wyszła na nlicę zamyślona.

— „Moji przyjaciele po tamtej stronie granicy“. Kto oni byli? I w jaki sposób ma się usuwać kamień z drogi? Jeżeli za pomocą satyry tylko, to czemu powiedział to z takim niebezpiecznym błyskiem w oczach?

ROZDZIAŁ IV.

Monsignor Montanelli przybył do Florencji w początkach października. Przyjazd jego wywołał w mieście pewne wrażenie. Był on słynnym kaznodzieją i przedstawicielem zreformowanego papieństwa, i ludzie pragnęli niecierpliwie usłyszeć tego zwiastuna „nowej doktryny“, Ewangelii miłości i pojednania, która miała uleczyć niedolę Włoch.

Mianowanie kardynała Gizzi na stanowisko sekretarza Państwa Rzymskiego w miejsce zniechwilzonego powszechnie Lambruschini'ego podniosło ogólny zapal do najwyższego stopnia, a Montanelli był właśnie człowiekiem mogącym go łatwo podtrzymać. Nieskazitelną jego życia, wielki kaznodziejski talent w połączeniu z magnetycznym czałem głosu i wspaniałą postawą jednały mu na wszystkie strony wielbicieli i zwolenników.

Grassini, jak zwykle, wyteżył wszystkie siły, by ściągnąć nową znakomitość do swego salonu, ale Montanelli nie był łatwą zdobyczą. Na wszystkie zaproszenia odpowiadał grzecznie ale odmownie, zastawiając się złym stanem zdrowia i brakiem czasu.

— Cóż to za żarłoczne istoty ci Grassini'owie — rzekł Martin, pogardliwie do Gemmy, gdy przechodził koło Signorii w jasny, chłodny, niedzielny poranek. — Zauważyłaś, jak Grassini kłaniał się, gdy kardy-

nał przejeżdżał? Im wszystko jedno kto, byle o nim mówiono. W sierpniu był Bak, a obecnie Montanelli. Myślę, że nadskakiwania ich pochlebiają wielce Jego Eminencyi; tyłu awanturników było już ich przedmiotem.

Wracali właśnie z kazania Montanelli'ego w katedrze i olbrzymi kościół był tak przepelniony słuchaczami, że Martini, lękając się dla Gemmy bólu głowy, na który cierpiała często, nakłonił ją do wyjścia przed końcem mszy. Słońce świeciło jasno po całotygodniowej słońcie i Martini proponował przechadzkę na San Minato.

— Nie — odrzekła. — Przejdę się chętnie, ale nie po górach. Chodźmy na Lung'Arno; Montanelli będzie przejeżdżał tamtędy w powrocie z kościoła; ja zaś podobnie, jak Grassini, lubię oglądać znakomitości.

— Ależ, widziałas go dopiero co.

— Nie zblizka. W kościele był taki tłok. Trzymajmy się w pobliżu mostu i z pewnością przyjrzymy mu się dobrze. Jak ci wiadomo, mieszka na Lung'Arno.

— Skąd ci ta nagła chęć przyjrzenia się Montanelli'emu? Sławni kaznodzieje nie interesowali cię zazwyczaj.

— To też nie chodzi mi o sławnego kaznodzieję, lecz o człowieka. Chcę zobaczyć, czy bardzo się zmienił od czasu, gdy go widziałam po raz ostatni.

— Kiedyz to było?

— W dwa dni po śmierci Artura.

Martini spojrział na nią z niepokojem. Wyszli na Lung'Arno i Gemma przystanęła wpatrując się w wodę z wyrazem twarzy, którego Martini poprostu znieść u niej nie mógł.

Dalszy ciąg nastąpi.



Z literatury.

Strach na wróble.

Komedya Włodzimierza Perzyńskiego „Strach na wróble“, którą przed niedawnem grano w Teatrze Polskim, zjawia się obecnie w wydaniu książkowym. Treść jej oraz zalety artystyczne omawialiśmy już z racyi wystawienia w Teatrze. Wydanie książkowe skromne, lecz staranne.

Sad.

Bogato ilustrowana treść zawiera całokształt wiadomości praktycznych, niezbędnych dla właścicieli sądów, oraz tych, którzy, uznając istotną wartość dochodową kultury sadowniczej, chcieliby zwiększyć wydajność swego warsztatu rolnego przez założenie sadu. P. Stefan Celichowski w sposób jasny wyłożył w swej pracy zasady sadzenia, nawożenia i pielęgnowania drzew owocowych, podając we wstępie cyfrowy obrachunek korzyści, jakie dać może sad dobrze prowadzony.

Słownik ilustrowany języka polskiego.

Nie mieliśmy podręcznego słownika języka polskiego. Słownik Lindego, czy wreszcie słowniki wileński Al. Zdanowicza lub E. Rykaczewskiego należą dziś do rzadkości. Świetnie opracowany olbrzymi słownik Karłowicza, Kryńskiego i Niedzwiedzkiego nie ukazał się jeszcze w całości. Zresztą księgi te, acz bardzo pożyteczne, są bardzo drogie, nie mogą być przeto dostępne szerszym warstwom. By zadość uczynić potrzebom tych szerokich warstw, ś. p. M. Arct zainicjował wydanie trzytomowego słownika, który jednak pod względem informacyjnym stoi na poziomie bardzo poważnych wymagań.

M. Arct w dziedzinie słownikarstwa ma specjalne zasługi. Znany jest jego podręcznik wyrazów obcych. Niedawno też zjawił się w edycji Arcta „Słownik staropolski“ A. Krasnowolskiego i Wł. Niedzwiedzkiego. Obecny trzytomowy ilustrowany słownik został opracowany przez M. Arcta przy współudziale prof. Henryka Gallego. Za zadanie postawiono sobie „zobrazowanie jaknajdokładniejszego współczesnego języka literackiego w jego całokształcie“, to jest, chodziło o „żywą mowę inteligentnego ogółu polskiego“. Wyrazy gwarowe, archaizmy, zwroty przestarzałe z racyi tej opuszczono, wyrazy błędne lub rzadko używane zostały też pominięte. A jednak i przy takiej selekcji słownik zawiera 70.000 wyrazów i wyrażeń. (Słownik Lindego: 60.000!). Nowością w tym nowym arctowskim słowniku jest zastosowanie ilustracji do wypuklenia wyjaśnień co do przedmiotu czy też jakiegoś pojęcia. Rysunków takich zamieszczono 4.300. Pomysł ten jest bardzo szczęśliwy i napewno przyczyni się wielce do popularyzacji tego słownika.

Wydawnictwo prosi, by ludzie posługujący się tym słownikiem przesyłali swoje uwagi w celu ulepszenia następnej edycji. Mamy nadzieję, że takich uwag znajdzie się niewiele. A jednak wartoby naprzykład dać bardziej wyczerpujące objaśnienia przy słówkach—pojęciach z dziedziny przyrodniczej, filozoficznej i politycznej. W słowniku bowiem pod pojęciem Darwinizm znajdujemy takie wyjaśnienie: „Doktryna Darwina: teoria powstawania gatunków i doboru płciowego, oparta na ścisłym uwzględnieniu rozwoju istot organicznych“. Dla ludzi nieobytych z teoriami naukowymi definicya ta jest niewystarczająca. Nie dano w niej wyjaśnienia, czem się różni darwinizm od teorii przyrodniczych jego poprzedników, którzy za zasadę przyjęli niezmienną gatunków. Następnie zaś pominięto pojęcie walki o byt. Niewystarczające też wyjaśnienie dano pod rzeczownik: anarchista. Niedokładnie zdefiniowano antropomorfizm, apercpcya. Wogóle przy następnej edycji trzeba skorygować pojęcia filozofii.

Nie znaczy to jednak, by słownik podawał wyjaśnienia błędne. Nie traci on nic przez to ze swojej wartości. Należy bezwzględnie do wydawnictw, którym trzeba życzyć jaknajwiększego rozpowszechnienia. Ostatnia praca ś. p. Arcta wskazuje na troskę jego naukowo-wydawniczą, na zbożną chęć służenia krajowi, pożyteczną pracę.

